

Archiwum Misyjne
Karmelitów Bosych

Biuletyn misyjny

Nr 15

Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych

1977

POZNAŃ

Misje Karmelitańskie w Afryce

S P I S T R E Ś C I:

E. Murs – U źródeł ducha misjonarskiego św. Teresy

Wiadomości z Burundi

L I S T Y M I S J O N A R Z Y

List O. Bogusława Woźnickiego – Z wizyta duszpasterską u Pigmejów

List O. Bogusława Woźnickiego do Przyjaciół Misji – Mpinga 1976r.

List O. Teofila Kapusty z Mpinga, grudzień 1976

List O. Teofila Kapusty do Franciszki Strzeleckiej – Mpinga, 19 lutego 1977
List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół Misji – Mutaha, 18 marca 1977
List O. Teofila Kapusty do Franciszki Strzeleckiej - Mpinga, 26 marca 1977
List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół Misji – Mpinga, czerwiec 1977
List O. Teofila Kapusty do O. Bogusława – Mpinga, 5 sierpnia 1977
List O. Teofila Kapusty do Franciszki Strzeleckiej – Mpinga, 8 sierpnia 1977
List O. Teofila Kapusty do Przyjaciół Misji – Mpinga, sierpień 1977
List O. Nazariusza Kwiatkowskiego do Przyjaciół – Muyange, 20.02.1977
List O. Bartłomieja Kurzyńca do O. Bogusława – Mugege 12.07.1977
List Brata Marcelego Ślusarczyka do O. Bogusława – Musongati, 16.08.1977

E. Murs

U ŹRÓDŁA DUCHA MISYJNEGO ŚW. TERESY

W roku 1977 obchodzimy 50-tą rocznicę wydarzenia, które interesuje cały Kościół. Oto [14 grudnia 1927 r. Pius XI ogłosił św. Teresę od Dzieciątka Jezus Patronką Misji!](#)

Ten fakt jest pewnym zaskoczeniem. Młoda mniszka, która przeżywszy 24 lata i 9 miesięcy, zmarła w nieznanym Karmelu w Normandii, promowana na niebieską Patronkę wszystkich dzieł misyjnych, zrównana z wielkim apostołem Misji, św. Franciszkiem Ksawerym! Lecz „Papież Misji” wiedział, co czyni, wieńcząc aureolą Tę, którą nazwał „Gwiazdą swojego Pontyfikatu”. W roku 1923 beatyfikował Ją w 26 lat po Jej śmierci, a kanonizował już w 1925 r. W dwa lata później potwierdził niezmierzoną ambicję, która zrodziła się w sercu młodej karmelitanki „głoszenia Ewangelii w pięciu częściach świata, aż po najbardziej odległe wysp”¹.

Udręka

To wywyższenie św. Teresy nie było jedynie epizodycznym aktem Piusa XI bez związku z wielką historią Kościoła. Raczej stanowiło ono wynik ruchu misjonarskiego, który cechował wiek XIX, wiek wzrostu i nowego rozkwitu Kościoła po burzy rewolucyjnej, która z Francji wstrząsnęła wszystkimi narodami chrześcijańskimi starego i nowego świata. Przygotowany przez sekciarstwo „filozofów” XVIII wieku szturm „mocy piekielnych” na Państwo chrześcijańskie, miał definitywnie unicestwić Dzieło zbudowane przez Chrystusa na Opoce. Budowla rzeczywiście wstrząsnęła się aż do fundamentów: teoretycy rewolucji podsuwali wierze Piotra zasady humanizmu ateistycznego. Człowiek stawszy się dojrzałym,

1 Dzieje duszy, Rękopis B,3

mał nie potrzebować już Boga. Zastąpiono religię Chrystusa i Trójcy Przenajświętszej przez kult bogini Rozumu.

Ponadto, 29 sierpnia 1799 roku, u schyłku XVIII wieku, umiera na wygnaniu w Walencji papież Pius VI. Czyżby ostatni Papież? Czyżby to był definitywny triumf negacji Boga w Prawdzie Objawionej? O brzasku nowego wieku, Kardynałowie rozproszeni przez wielką burzę, zgromadzili się na konklawe w Wenecji. 14 marca 1800 roku dali swe głosy na jednego spośród siebie – Barnabę Chiaramonti i Pius VII, następca Piusa VI wstąpił na stolicę Piotrową, która miał zajmować przez lat 26. Jeszcze raz „Galilejczyk zwyciężył”.

Ekspansja misjonarska

I oto rozpoczęła się dla Kościoła era misyjna. Nie zadowala się ona wysiłkami, by podnieść się z ruin nagromadzonych przez burzę rewolucyjną, lecz z młodzieńczym zapałem porywa się na pozyskiwanie nowych ludów. Afryka, Indochiny, Japonia, Chiny, niezliczone wyspy Oceanii zostały opanowane przez „heroldów Dobrej Nowiny”, a krew męczenników użyźniała nieuprawne role krajów pogańskich i wydała plony nigdy dotąd nie zbierane. Wśród wielu innych Teofan Venard miał ten dar, że oczarował serce Teresy, która za murami Karmelu płonęła pragnieniem zmieszania swej krwi z krwią tych świadków wiary.

We wszystkich najstarszych chrześcijańskich krajach mnożyły się nowe instytucje misyjne, mające na celu niesienie posłannictwa ewangelicznego, aż na krańce świata. Francja, tak bardzo doświadczona w czasie Wielkiej Rewolucji 1789r. stoi na czele tej nowej krucjaty.

Na jej ziemi zrodzili się Oblaci Maryi Niepokalanej, założeni przez biskupa Marsylii Mgr Leonarda de Mazenod, dziś ogłoszonego błogosławionym; Ojcowie Biali przez Kardynała Lavigerie; Ojcowie Ducha Świętego – założeni przez O. Libermana; Misjonarze św. Franciszka Salezego i tylu innych. Dawne Zakony nie pozostawały w tyle w tym zapale misyjnym: Towarzystwo Jezusowe, wierne swemu powołaniu początkowemu, Lazaryści Św. Wincentego a Paule, Franciszkanie, Serwici, Karmelici, Kapucyni itd., Zakony i kongregacje mężczyzn prawie wszędzie wzrosły podwójnie, dzięki Zgromadzeniom misyjnym żeńskim.

Godna specjalnej wzmianki jest niezrównana Paulina Maria Jaricot, dzięki gorliwości której powstały dwa dzieła pierwszorzędne, wkrótce rozpowszechnione na cały świat i którym z tego powodu Pius XI wyznaczył siedzibę w Rzymie: Dzieło Propagandy Wiary i dzieło Świętego Dzieciństwa. Do nich dołączyło się wkrótce – jako konieczne uzupełnienie – Dzieło św. Piotra Apostoła na korzyść kleru tubylczego.

Wspominając misje francuskie, które bezpośrednio przyciągały uwagę naszej Świętej, nie mamy zamiaru zapomnieć o wkładzie apostolskim innych narodowości, a szczególnie Włoch z ich licznymi stowarzyszeniami misyjnymi w Parmie, Mediolanie, Turynie, Weronie itd., Niemiec ze stowarzyszeniem Werbistów, założonym przez Arnolda Janssena, niedawno beatyfikowanego, Belgii z misjonarzami z Acheut, Ameryki ze Stowarzyszeniem Misyjnym w Mill Hill itd. To wyliczenie jest bardzo niekompletne.

Cóż czynić będzie mała mniszka z Lisieux w tym rozległym dziele zdobywania dusz? Czy nie ma dysproporcji pomiędzy ogromem wydania podjętego przez Kościół XIX wieku, a ukrytą ofiarą realizowaną przez Teresę, która oddała się na całopalenie Miłości miłosiernej? Czyż nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy tym ogromem apostołatu misyjnego,

ogarniającego pięć kontynentów, z małą Karmelitanką umierającą na gruźlicę w 24 roku życia?

A jednak nie.

Nie, ponieważ Pan Bóg nie mierzy zasług i skuteczności działania naszych Świętych wielkością Ich dzieł, lecz jedynie intensywnością Ich miłości. Nie, ponieważ św. Paweł pisząc do Koryntian, nad wszelkie dary i czyny heroiczne przedłożył żar boskiej miłości. Nie, ponieważ sam Chrystus wyżej postawił kontemplację i miłość Marii, niż wszelką krzątaninę jej siostry Marty.

Miłość zaś Teresy wzniosła Ją swym gorącym tchnieniem i zapalem do poziomu największych świętości. Kościół stale kierowany przez Ducha Świętego nie pomylił się, dając Ją za wzór i patronkę wszystkich – misjonarzom obecnym i przyszłym.

Rodzina mająca ducha misyjnego.

Rodzina Teresy była tym opatrnościowym terenem, na którym rozwijała się Jej gorliwość misyjna. Czytano tam z zapalem „Roczniki Propagandy Wiary”, komentowano wyjątki z nich w obecności dzieci; pomoc dla dzieł misyjnych figurowała w budżecie Pana Martin.

W tym klimacie wiary i miłości budziło się zainteresowanie naszej Świętej dla osiągnięć apostołskich wśród niewiernych. Czyż nie marzyła Ona przed wstąpieniem do Karmelu o przynależności do jakiegoś Instytutu Misyjnego? Zrezygnowała z tego tylko dlatego, że dostrzegła gdzie indziej możliwość apostołowania.

Rzeczywiście podczas swej podróży do Rzymu, jak opowiada Celina, „przeglądając Roczniki Sióstr Misjonarek przerwała swoją lekturę, mówiąc do mnie: Nie chcę tego więcej czytać, już i tak bardzo pragnę zostać misjonarką. Do czego by więc doszło, gdybym się jeszcze przyglądała obrazkom tego apostołatu! Chcę być Karmelitanką!²”

Matka Misjonarka

Mówiąc o duchowym przygotowaniu Teresy do Jej misyjnego powołania, trzeba na pierwszym miejscu wspomnieć o pragnieniach i modlitwach pani Martin (setna rocznica jej śmierci opatrnościowo przypada w roku 1977. Umarła w Alencon 28 sierpnia 1877r.) Znane jest jej wielkie pragnienie, aby mieć syna kapłana, misjonarza. Wiemy o jej ogromnym bólu, jaki przeżyła w obliczu śmierci jednego po drugim dwóch małych Józefów, których urodziny wydawały się odpowiedzią Pana Boga na jej pragnienia. Jej siostra, wizytka z Mans, aby podnieść na duchu matkę przygniecioną przez dwie następujące po sobie żałoby, napisała jej 23 lutego 1879 roku te słowa prorocze, wypowiedziane z pełnią przekonania, które przedziwnie zrealizują się w Teresie:

„Twoja niezachwiana wiara i ufność będzie kiedyś wspaniale nagrodzona. Bądź pewna, że Pan Ci pobłogosławi i że miara Twych cierpień będzie miarą pociech, które

2 Rady i wspomnienia. Gorliwość o dusze.

są dla Ciebie przygotowane. Bo, jeśli Pan Bóg zadowolony z Ciebie, da Ci wielkiego świętego, którego Ty tak pragniesz dla Jego chwały, to czyż nie będziesz dobrze wynagrodzona?”³

Karmel misyjny

Po rodzinie Teresy, Karmel w Lisieux więcej niż każdy inny miał danych do tego, by rozwinąć Jej skłonności misjonarskie. Wiadomo, że spośród wszystkich Karmeli francuskich, właśnie Karmel w Lisieux powziął inicjatywę fundacji w krajach pogańskich.

Z niego to wyruszyły pierwsze mniszki do Sajgonu, dzisiejszego Wietnamu. Ziarno rzucone w tych krajach przez Lisieux wzrastało tak dobrze, że ponad dwadzieścia Karmeli wyszło z tej pierwszej plantacji klasztoru w Lisieux.

W takich to okolicznościach doszło do wyznaczenia Teresy na siostrę i pomoc duchową dla dwóch przyszłych misjonarzy: w październiku 1895 r. dla ks. Belliere, młodego seminarzysty, kandydata na misjonarza, a następnie w lecie 1896 r. dla o. Rouland, kapłana należącego do Misji Zagranicznych w Paryżu, wysłanego do Chin, do Su-tchuen, w okolicach Shang – Hai.

Jaką była odpowiedź Teresy na to wezwanie do współpracy w apostołstwie misyjnym z tymi dwoma braćmi, opowiada nam ona sama w Rękopisie C skierowanym do Matki Marii Gonzagi. Objawiło się w tym powołanie Boże, które Ona zrozumie potem w wymiarze ogólnokościelnym.

„**Matko Moja** – pisze w sprawie swego pierwszego braciszka, - **nie jestem w stanie wypowiedzieć mego szczęścia. – Od bardzo dawna żywiłam pragnienie niemożliwe , jak mi się zdawało do spełnienia, a mianowicie, by mieć brata kapłana. Spełnienie mego pragnienia w sposób tak nieoczekiwany zrodziło w mym sercu radość, którą nazwałabym dziecięcą, bo musiałabym wrócić do dni mego dzieciństwa, by odnaleźć wspomnienie radości tak żywych, że dusza nie jest zdolna ich pomieścić. Od lat nie przeżywałam podobnego szczęścia. Miałam uczucie, jakby coś nowego zrodziło się w mojej duszy, jakby po raz pierwszy dotknięto strun, pozostających dotąd w zapomnieniu.**”⁴ Naznaczenie ks. Belliere na brata duchowego Teresy nastąpiło 17 października 1895 r., w cztery miesiące po Jej ofiarowaniu się Miłości Miłosiernej i otrzymaniu rany miłości.

Było to jawne dotknięcie Ducha Świętego, który tak intensywnie wprowadził w ruch ten instrument tak dobrze uzgodniony z Jego działaniem. Pierwsza ta reakcja pogłębiła się jeszcze, gdy 30 maja 1896r. matka Przeorysza dała Jej drugiego brata duchowego. Było to w dwa miesiące po Jej wejściu w wielkie doświadczenia, w noc wiary.

„**Ufałam** – pisze wtedy – **że dzięki łasce Bożej będę pożyteczna więcej niż dwom misjonarzom, a równocześnie nie zapomnę modlić się za wszystkich, nie wyłączając zwykłych księży, których posłannictwo jest również trudne, jak misja apostołów**

3 Korespondencja rodziny.

4 Dzieje duszy. Rękopis C 31,32

pracujących nad nawracaniem niewiernych. Wreszcie chcę być córką Kościoła i modlić się w intencjach naszego Ojca św. wiedząc, że jego intencje obejmują cały świat.⁵” Przymierze zawarte przez Teresę z Jej braćmi apostołami nie ograniczało się jedynie do dziedziny prostych pragnień. Odtąd całe Jej życie będzie należało do nich. Na mocy obcowania świętych odda im Ona wszystkie swe bogactwa. „Cokolwiek do mnie należy, jest własnością każdego z nich; doskonale wiem, że Dobry Bóg jest zbyt dobry, by dzielić. Jest On tak bogaty, że daje bez miary wszystko, o cokolwiek Go proszę.⁶”

Jej miłość misjonarska

Przed wszystkim poprzez swoją miłość, miłość, której siłę i intensywność miał wkrótce zwiększyć grot rozpalony, karmelitanka – apostoł realizowała pomoc braciom. „Jezus poddał mi prosty sposób wypełnienia tego zadania; pozwolił zrozumieć te słowa Pieśni nad pieśniami: ‘pociągnij mnie! Pobiegniemy do wonności olejków twoich’. I Teresa komentuje: „O, Panie, pojmuję, że skoro dusza da się zniewolić upajającą wonnością Twoich olejków, nie pobiegnie sama, ale pociągnie za sobą wszystkie dusze, które kocha; dzieje się to bez przymusu, bez wysiłku; jest naturalną konsekwencją jej dążenia dla Ciebie”.

Następujące porównanie nada Jej myśli bogactwo przejmującej ekspresji: „Jak strumień wpadający gwałtownie do oceanu unosi z sobą wszystko, co spotka na swej drodze, podobnie, o mój Jezu, i dusza, która zanurza się w bezbrzeżnym oceanie Twojej miłości, pociąga za sobą swoje skarby...”. Jej skarby? „O Panie, Ty wiesz, że nie posiadam innych skarbów poza duszami, które spodobało Ci się w szczególny sposób połączyć z moją; te skarby Ty sam mi powierzyłeś”. I natychmiast z odwagą, która usprawiedliwia Jej zjednoczenie miłosne z Jezusem, Teresa posługuje się słowami modlitwy arcykapłańskiej Jezusa, podanej w rozdz. XVII św. Jana, aby nam dać poznać, jak ściśle pojmuje swoją wspólnotę ze swoimi braćmi apostołami: „Objawiłam imię Twoje tym, których mi dałeś; Twoimi byli i mnie ich dałeś. Teraz poznali, że wszystko, cokolwiek mi dałeś, od Ciebie pochodzi: bo przekazałeś im słowa, które mi dałeś. Oni przyjęli je i uwierzyli, że zostałam przez Ciebie posłana.⁷”

Posłana, słowo użyte w rodzaju żeńskim: misja samego Jezusa staje się misją Teresy!...

Przy końcu tego uniesienia, w ślad za Chrystusem modlącym się za swoich uczniów i postępując w swej autobiografii jeszcze dalej za tekstem, Teresa staje zdumiona tym, co wyraziła: „Ale wracając do Ciebie, droga Matko, jestem ogromnie zdziwiona, co napisałam, nie było to bowiem moim zamiarem; skoro już jednak napisałam, niech zostanie.⁸”

5 j. w. 33

6 j. w. 33

7 j. w. 34

8 j. w.

Tak, niech zostanie, aby zaświadczyć wobec świata o głębi i zasięgu misyjnego posłannictwa w mistycznym Ciele Kościoła.

Za całe Ciało Mistyczne

W mistycznym Ciele Kościoła, w tym ciele, które ma liczne członki i różne zadania życiowe, Teresa odkryła w świetle Pisma św. i pod specjalnym natchnieniem Ducha Świętego swoje miejsce, miejsce **Misjonarki całego świata.**

Trzeba zatrzymać się nad podstawowym tekstem Rękopisu B, skierowanego do Siostry Marii od Serca Jezusowego, aby zmierzyć niepojęty zasięg, chciałabym powiedzieć, wprost zdumiewający – misji apostolskiej naszej Świętej. On to bez wątpienia stał się natchnieniem dla Piusa XI do tego aktu, którego charakter określiliśmy jako niezwykle – aktu ogłaszającego św. Teresę Patronką wszystkich Misji.

Tekst to jedyny i wyjątkowy w rocznikach duchowości wszystkich czasów, który każe Jej siostrze Marii wypowiedzieć po przeczytaniu „tych stron pełnych ognia miłości”, będących prawdziwym „Echem Serca Bożego” te słowa: „**Czy chcesz, abym Ci coś powiedziała? A więc jesteś opanowana przez Dobrego Boga.⁹**”

Zatrzymajmy się tutaj nad fragmentami bardziej znamienitymi. Przystępując do rzeczy – Teresa czuje się jakby zatopiona w swych niezmierzonych pragnieniach. „**Ach! Przebac mi Jezu, jeśli mówić będę jak szalona, chcąc oddać moje pragnienia, moje nadzieje sięgające w nieskończoność, przebac mi i ulecz mą duszę, dając jej to, czego się spodziewa¹⁰.**”

Po czym ciągnie dalej: „**Być Twą oblubienicą, o Jezu, być karmelitanką, być przez zjednoczenie z Tobą matką dusz, to wszystko powinno mi wystarczyć... jest jednak inaczej.**”

„**A jednak odczuwam w sobie jeszcze inne powołania, powołania wojownika, kapłana, doktora, męczennika; czuję wreszcie potrzebę, pragnienie dokonania dla Ciebie, Jezu wszystkich czynów najbardziej bohaterskich.**”

Po tym wstępie ogólnym nasza Święta opisuje szczegółowo to, co widzi w każdym z tych swoich powołań. Zatrzymamy się nad tym powołaniem, które odnosi się bezpośrednio do naszego tematu, nad Jej powołaniem misjonarki.

„**Odczuwam powołanie Apostoła, chciałabym przebiegać ziemię, głosić Twe Imię i umieszczać w ziemi niewiernych Twój szlachetny Krzyż.**”

„**Ale, mój Ukochany, jedno posłannictwo mi nie starczy, chciałabym w tym samym czasie głosić Ewangelię w pięciu częściach świata, aż po najbardziej odległe wyspy.**” To gdy chodzi o jej zasięg; a jeśli chodzi o czas jego trwania: „**Chciałabym być misjonarzem nie tylko przez przeciąg kilku lat, lecz od stworzenia świata aż do dokonania się wieków.**”

Lecz wkrótce Teresa zatrzymuje się, jak gdyby zaskoczona dysproporcją, jaką widzi pomiędzy swoimi niezmierzonymi pragnieniami, a swoją maleńkością i nieudolnością: „**O**

9 Korespondencja ogólna II, s. 893

10 Rękopis B, 2

mój Jezu, cóż odpowiem na te moje szaleństwa?... Czyż jest dusza mniejsza, bardziej nieudolna od mojej¹¹!”

Tutaj rozpoczyna się kontrast uwydatniony już przez św. Pawła, kontrast pomiędzy słabością stworzenia i potęgą łaski działającej w duszy, która opiera się jedynie na Bogu: „Albowiem ilekroć nie domagam, tylekroć jestem mocny.¹²”

Co do Teresy, to rozwiązanie tej sprzeczności znajdzie Ona w miłości. Być miłością w sercu Kościoła – oto co Jej pozwoli realizować powołanie misjonarki wobec świata całego.

„Podczas modlitwy pragnienia te stawały się dla mnie prawdziwym męczeństwem; otworzyłam więc listy św. Pawła, by tam znaleźć jakąś odpowiedź. Wzrok mój padł na dwunasty i trzynasty rozdział pierwszego listu do Koryntian.¹³”

W dwóch kolejnych etapach znajdzie tam Teresa odpowiedź na swoje poszukiwania. Pierwszy etap: Odkryje Ona w nauce Apostoła, że w Kościele są różne powołania, powołanie apostołatu, proroków, doktora, a równocześnie zauważy różnice między nimi oraz rozłączenie się ich wzajemne w tej samej osobie, to znaczy, „że oko nie może być zarazem ręką.¹⁴” Oświadcza więc, że ta pierwsza odpowiedź ‘ nie zaspakaja moich pragnień, nie dawała mi ukojenia’.

Drugi etap: „Niezmordowanie czytałam dalej i to oto zdanie przyniosło mi ulgę: „A ja wam wskażę drogę jeszcze doskonalszą.” – I Apostoł wyjaśnia, że wszystkie drogi, nawet najdoskonalsze, są niczym bez miłości, że miłość jest drogą najdoskonalszą, która najpewniej prowadzi do Boga”.

Nareszcie Teresa odnalazła to, czego szukała: „Miłość dała mi klucz do mego powołania. Zrozumiała, że skoro Kościół jest ciałem złożonym z różnych członków, to nie brak mu najbardziej niezbędnego, najszlachetniejszego ze wszystkich. Zrozumiałam, że Kościół posiada serce i że to serce płonie miłością, że jedynie miłość pobudza członki Kościoła do działania i gdyby przypadkiem zabrakło miłości, apostołowie przestaliby głosić Ewangelię, męczennicy nie chcieliby przelewać krwi swojej. Zrozumiałam, że miłość zamyka w sobie wszystkie powołania, że miłość jest wszystkim, obejmuje wszystkie czasy, wszystkie miejsca...: Jednym słowem – jest wieczna!...¹⁵”

Tą więc intuicję osobistą Teresa kończy:

„O, Jezu, Miłości moja... nareszcie znalazłam moje powołanie; moim powołaniem jest miłość! W sercu Kościoła mojej Matki będę miłością. W ten sposób będę wszystkim i moje marzenie zostanie spełnione!”

Cały ten komentarz może tylko osłabić blask tych mistycznych wzlotów. Kościół św. rozpoznał w nim myśl natchnioną i zatwierdził jego apostolską doniosłość. Patronat misjonarski Świętej z Lisieux tutaj ma swoje źródło i swą podstawę. Wszyscy apostołowie i

11 Rękopis C, 3

12 2 Kor. 12,10

13 Rękopis B, 3

14 1 Kor. 12, 14

15 Rękopis B, 3

święci, którzy przyszli po Niej, powołują się na to i starają się ożywić tym samym płomieniem swoją działalność i swoją duchowość w dziele zdobywania dusz.

Przez czyny

Miłość misyjna Teresy nie zatrzyma się na tych wysokościach, na jakie się wzniosła – jak to zaobserwowaliśmy dotychczas. Patrząc trzeźwo i praktycznie i wiedząc, że „**miłość dowodzi się czynami**”¹⁶, nasza Święta przykłada się do tego, aby wszystkie Jej uczynki nawet najmniejsze były pełnione z miłości: „... **nie opuszczę żadnej okazji do ofiary, choćby najmniejszej, żadnego spojrzenia, żadnego słowa, wykorzystam najdrobniejsze nawet czyny, by je pełnić z miłości. Chcę cierpieć z miłości i cieszyć się z miłości; w ten sposób będę rzucać kwiaty przed Twoim tronem; nie pomnę żadnego, by go nie oberwać z płatków dla Ciebie...Potem rzucając moje kwiaty, będę śpiewać... nawet wtedy, gdy trzeba mi będzie zrywać kwiaty pośród cierni; a mój śpiew będzie tym bardziej melodyjny, im cierpienia będą dłuższe i ostrzejsze.**”¹⁷

Czyż to jest poezja? Niech i tak będzie, lecz poezja wzniosła, tryskająca u stóp krzyża. Dusze wspaniałomyślne, pragnące naśladować Teresę w Jej zbieraniu kwiatów, zapomną, że te róże miłości są pokryte cierniami i zroszone krwią. Jednakowoż, aby pozostać wiernymi podstawowemu natchnieniu Świętej, będą uważały na to, aby nie zbaczać z drogi na widok ofiar i cierni. Miłość pozostanie podstawą Jej duchowości i misyjnego apostolatu.

„O, mój Jezu – pisze nasza karmelitanka – **kocham Cię, kocham Kościół święty, Matkę moją i pamiętam (razem ze św. Janem od Krzyża), że ‘najmniejszy akt czystej miłości jest dlań bardziej użyteczny, niż wszystkie inne dzieła razem wzięte.**”¹⁸

Przez pokorę

Wkrótce jednak z realizmem swej pokory przypomina sobie swą nędzę, nie rezygnując jednak nigdy z żarliwych swych aspiracji, pewna ich autentyczności:

„**Jakże to może być, by dusza tak niedoskonała jak moja, pragnęła osiąść pełnię miłości? O Jezu, mój pierwszy, mój jedyny Przyjacielu, Ty, Którego wyłącznie miłuję, odsłoń mi tę tajemnicę! Dlaczego nie zachowujesz swych bezmiernych pragnień dla dusz wielkich, dla orłów szybujących w najwyższych przestworzach?... Ja siebie uważam za małą ptaszynę... nie jestem orłem, ale mam orle oczy i serce.**”¹⁹

Jakiż blask w tym końcowym wyznaniu, które sama Teresa podkreśla. Przejawi się w nim rzeczywiście przenikliwe spojrzenie tej córki Kościoła, które jeszcze dzisiaj obejmuje „pięć kontynentów świata”.

16 j. w. ,4

17 j. w.

18 j. w.

19 j. w.

Ogłoszona Patronką Misji

Dostrzegamy jakby echo tych akcentów w Dekrecie Piusa XI, ogłoszonym 14 grudnia 1927 r., przyznającym św. Teresie tytuł „Głównej Patronki wszystkich misjonarzy i misjonek oraz Misji całego świata, na równi ze św. Franciszkiem Ksawerym”. Wbrew stylowi na ogół umiarkowanemu tego rodzaju dokumentów, ten, który cytujemy przekazuje nam coś z drgania serca naszej Świętej.

Rozpoczyna się od słów, które tłumaczymy z oryginału:

„Quam laceto animo! ...”

„Z jaką radością przyjęli wierni kanonizację św. Teresy od Dzieciątka Jezus, widzimy to jasno z rozszerzania się nabożeństwa do Niej po całym świecie. Nie ma krajów pogańskich, nawet najodleglejszych, w których by ta Dziewica karmelitańska nie spuściła z nieba przyobiecane deszczu róż”.

Stąd prośby wielkiej liczby biskupów, błagających Papieża o to wyróżnienie Teresy wobec całego katolickiego świata. Pius XI, od dawna zdobyty przez świetlaną postać Świętej z Lisieux, przychylił się do prośb Episkopatu. Był szczęśliwy, „mogąc spełnić to pragnienie wszystkich”.

Tak więc Wikariusz Chrystusa zniewolony prośbami całego świata katolickiego, kanonizował – można powiedzieć – powołanie Teresy jako Misjonarki Powszechnej.

To powołanie i ta misja nabiera dzisiaj szczególnego znaczenia i nieoczekiwanej rozpiętości, w świetle ostatniego aktu Pawła VI o misyjnej roli Kościoła. 8 grudnia 1975 roku Najwyższy Pasterz, w wigilię zamknięcia Roku Świętego i w 10-tą rocznicę zakończenia Soboru Watykańskiego II, ogłosił Dokument, który zajmie miejsce w Rocznikach dzieła ewangelizacji, pod tytułem „Evangelii nuntiandi”.

Papież zebrał tutaj, nadając jej pełną wartość, pracę III Synodu Biskupów, którzy rok przed tym pogłębili ten temat. Paweł VI przyjął ją za swoją i streścił w tej Adhortacji Apostolskiej, „aby dać sprecyzowaną orientację, odpowiedzieć na stawiane dziś pytanie, nie pozostawić bez oddźwięku wezwania wyrażonego przez swych Braci i nadać nowy zapal apostolatowi Kościoła”.

Trzeba odwołać się do tekstu tej Adhortacji, która w siedmiu artykułach ujmuje w sposób jasny i systematyczny obszerny materiał Ewangelizacji. **Ona to (ewangelizacja) - mówi Paweł VI, stanowiła misję samego Chrystusa i pozostała w ciągu wieków misją dla Kościoła: „Jako Mnie posłał Ojciec Mój, tak i Ja was posyłam.”²⁰**

Dokument kończy się tym ujmującym zaproszeniem, tak zgodnym z apostolskimi aspiracjami, jakie Teresa wyraziła w swym liście do siostry Marii od Najświętszego Serca, który cytowaliśmy wyżej:

„Zachowujemy – mówi Ojciec św. – słodycz i pokrzepiającą radość ewangelizowania, nawet wtedy, gdy trzeba siać we łzach. Niech to będzie dla nas, tak jak dla Jana Chrzciela, dla Piotra i Pawła, dla owej rzeszy przedziwnych ewangelizatorów w ciągu długich dziejów Kościoła, zapal wewnętrzny, którego nic nie

zdoła zgasić. Niech to będzie wielką radością naszego życia. Oby świat naszych czasów, który szuka już to w trwodze, już to w nadziei, mógł przyjąć Dobrą Nowinę nie od apostołów smutnych i zniechęconych, niecierpliwych i zatroskanych, lecz od sług Ewangelii, których życie promienieje zapalem, jaki otrzymali pierwsi chrześcijanie w radości Chrystusa i którzy zgadzają się narażać swe życie dla głoszenia Królestwa Bożego Kościołowi zaszczipionemu w sercu świata”.

Właśnie we łzach, w największym cierpieniu, w tym, co O. Gaucher mógł nazwać „Męką św. Teresy z Lisieux”, nasza Święta pojęła i realizowała swą misję, lecz przy tym z jakąż czyniła to pogodą, z jaką promienną radością. Ona sama zaświadczyła o tym, mówiąc do Matki Agnieszki: „Nie smuć się, widząc mnie tak chorą; ty widzisz, jak Dobry Bóg czyni mnie szczęśliwą. Jestem zawsze wesola i zadowolona”. A do siostry od Aniołów: „Gdy cierpię dużo, odpowiadam na to uśmiechem”.

Siostra Genowefa ze swej strony daje to piękne świadectwo o radości cierpiącej Teresy: „Jej miła radość zdawała się wzrastać wraz z Jej cierpieniem. Okazywała również ogromną moc ducha i swą niezwykłą miłość do nas, chcąc nas rozerwać w naszym bólu, nawet wbrew naszej woli”.²¹

Oto, co wyjaśnia nadprzyrodzoną płodność działania misyjnego naszej Świętej: zjednoczona z Chrystusem cierpiącym, z Nim podejmuje w Kościele i poprzez świat, swą rolę Misjonarki i Patronki wszystkich Misji.²²

(Tłumaczyły Siostry Karmelitanki Bose z Zakopanego)

WIADOMOŚCI Z BURUNDI

Na zasłużone wakacje przyjechał do Polski W. O. Józef Trybała, rodzony brat O. Eliasza, który w ubiegłym roku gościł w naszym kraju.

O. Józef – zwany przez Ojców Misjonarzy „drucikiem” nie dla subtelnej linii, ale dlatego, że pełniąc służbę w wojsku polskim był zatrudniony jako telegrafista. To przeszkolenie bardzo mu się przydało, bo teraz, dzięki jego wiedzy nie mamy problemu porozumienia się na odległość (między Mpinga, a Musongati); on przeprowadził instalację elektryczną w naszych nowych domach, on jest „dyrektorem” naszej elektrowni, no i konstruktorem wspaniałego wiatraka, który tanim kosztem wytwarza energię elektryczną w Musongati, on zakładał „linię” telefoniczną między domem Sióstr Misjonarek, a naszą placówką w Musongati.

Cały pobyt w Polsce poświęcił na zakupy sprzętu elektroniczno-radio-elektrycznego. Do powrotu Ojca jeszcze dwa tygodnie, a już trzy duże skrzynie z zakupami Ojca Józefa oczekują na wysyłkę. Myślę, że do czasu odjazdu przybędzie i czwarta.

21 Wspomnienia s. Genowefy

22 „Vie Theresienne” styczeń 1977. nr 65

Gdzie i jak on te rzeczy kupował, pozostanie jego tajemnicą. Ja nie mogłem w sklepie dostać zwykłego kabla aluminiowego, a on zakupił nawet ekranizowany!

28 sierpnia br. miał spotkanie z Towarzystwem Przyjaciół Misji w Poznaniu. Wrócił do Burundi 7 września.

W Burundi, po ubiegłorocznym przewrocie, spokój. Ojcowie pracują bez specjalnych trudności. Wykańczają foyer social w Mpinga, gromadzą cegłę na kościół w Musongati.

Misyjny Karmel Terezański jest obecny na wszystkich kontynentach:

MEKSYK – Prelatura Apostolska w El Salto (praca między czerwonoskórymi);

KOLUMBIA – Wikariat Apostolski w Tumaco. Praca nad miejscowymi Caboclos;

EKWADOR – Prelatura Apostolska w Sucumbios. Praca między Caboclos;

ARABIA – Wikariat Apostolski w Kuwait. Praca wśród miejscowych katolików, których w Kuwait jest 16 tys.;

FILIPINY – Prelatura Apostolska na wyspie Infanta. Praca nad tubylczą – pogańską jeszcze – ludnością;

INDIE – Misja w Wijaypuram, w Trivandrum i Manalikara. Placówek około 40;

INDIE – Alwaya. Seminarium Apostolskie prowadzone przez OO. Karmelitów, w którym kształcą się ponad 800 alumnów;

JAPONIA – Misja w Nagoya, Kanatawa, Tokyo, Kyoto;

MALAWI – Misja w Kapiri i Lilongwe;

ZAIR – Misja w Goma, Masisi i Kanagaj;

BURUNDI – Misja w Mpinga i Musongati;

MADAGASKAR – Misja w Tananariva;

IRAK – Misja w Bagdadzie i w Basrah;

TURCJA – Misja w Iskenderun;

ISRAEL – Góra Karmel.

CENTRALNA AFRYKA – Misja w Bozoum – Baoro.

Na terenach misyjnych znajduje się także 80 domów Sióstr Karmelitanek Bosych, które za przykładem św. Teresy od Dzieciątka Jezus modlitwą, pokutą i ofiarą wypraszają naszym ojcom misjonarzom błogosławieństwo w ich trudnych pracach. Domy naszych Sióstr Karmelitanek znajdują się w Australii, na Korei, w Wietnamie, Afryce Południowej i Brazylii.

Wysyłka paczek z Polski, w zasadzie nie napotyka żadnych trudności. W tym roku wysłaliśmy z Poznania 48 skrzyń. Przeciętna waga jednej paki 150 kg. A zatem w tym roku

wysłaliśmy 7.200 kg różnego towaru, przede wszystkim odzieży, leków, detergentów i materiałów elektrycznych.

Wielką przysługę naszej misji w Burundi wyświadczyła Pani Profesor Teresa Rutkowska z WPSM z Warszawy, która zmobilizowała Towarzystwo Moralności Socjalistycznej w Warszawie, ul Jasna 1 i dzięki temu mogliśmy z Poznania dodatkowo wysłać 800 kg leków i odzieży.

Misja nasza w Burundi liczy na pomoc Polonii Zagranicznej. W Kanadzie, powstało polonijne Towarzystwo „Z pomocą”, które już przesłało na rzecz naszej misji poważną kwotę. Wydawany przez Towarzystwo miesięcznik pod tym samym tytułem informuje społeczeństwo w Ottawie, Montrealu i innych miastach o naszej misji.

W USA bardzo interesuje się naszymi misjami. W. O. Jan Kołaczek również założył kółko misyjne pod nazwą „Jutrzenka”. Również i „Jutrzenka” obiecała realną pomoc naszym ojcom w Mpinga i Musongati.

LISTY MISJONARZY:

Listy O. Bogusława Woźnickiego:

Z WIZYTĄ DUSZPASTERSKĄ U PIGMEJÓW

Drogi Ojcie Albinie!

Tym razem list z Mpinga, gdzie spędziłem pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia.

O rannych uroczystościach pisałem w poprzednim liście. Ten drugi piszę pod wrażeniem naszej wizyty w sąsiedniej wiosce zamieszkałej przez Pigmejów.

Pigmeje – to wspólna nazwa karłowatych ludów Afryki, Azji Południowej i Nowej Gwinei, a nawet i prawdopodobnie, przedhistorycznej Europy.

W miejscowym języku, czyli w „kirundi” Pigmejów w Burundi nazywają Batwa. W sąsiedniej Rwanda – Akka. Ich charakterystyczną cechą jest karli wzrost, bo 150-centymetrowy Pigmej, to prawdziwy Goliat! Krótka, na niskiej szyi osadzona głowa, nieproporcjonalnie długie ręce i beznadziejnie niski poziom rozwoju kulturalnego. Miejscowe szczepy, Tutsi i Hutu stawiają ich nie wiele wyżej od małp.

Co do ich pochodzenia, krążą dwie wersje. Pierwsza z nich głosi, że Pigmeje, to prastara rasa, z której wyprowadzają się wszyscy ludzie. Inni znowu twierdzą, że na skutek wiekowego zwyczajowego prawa, iż Pigmejowi nie wolno szukać żony poza swoją hordą czyli wioską, postępuje stała degradacja tego ludu.

W Burundi żyje ich około 30 tysięcy, 50 tysięcy w Zairze, 20 tysięcy w graniczącej z Burundi Rwandą.

Wspomniałem w poprzednich listach, że w Burundi kultura rolna stoi na bardzo niskim poziomie. Nie znają pługa, nie znają brony, ani kultywatora. Wystarcza im zwyczajna, miejscowej roboty motyka. U Pigmejów z uprawą roli jest jeszcze gorzej. Nawet motyki nie

znają. Ziemię spulchniają bambusowym kołkiem, sadząc chudą afrykańską fasolę, podobną do polskiej odmiany tzw. „piechoty” lub maniok i kukurydzę.

Główną podstawą ich utrzymania jest łowiectwo i nie wiem, czy jest taki termin w języku polskim – zbieractwo. Zbierają wszystko, co się porusza: jaszczurki, żaby, ślimaki, pędraki, urodziwe dżdżownice, no i termyty. Poza bananowcami nie zauważyłem w wiosce żadnych innych drzew owocowych.

Dziwno mi tylko było, skąd tu, w sercu Afryki grecka nazwa niskorosłych Murzynów. Aż dopiero teraz, pisząc ten list, przypomniało mi się, że to Homer tę nazwę wymyślił dla wyjątkowo niskich ludzi! Przecież i mnie, jak Ojciec pamięta, nawet klasowy wielkolud Mrugacz nazywał Pigmejem.

Wyprawę do Batwa zaproponował mi O. Jan Wołek. Ponieważ jednak tak O. Prowincjał jak i O. Teofil wyrazili chęć towarzyszenia nam, więc we czwórkę wybraliśmy się do osiedla, oddalonego o dwie godziny misjonarskiego kroku od naszej misji w Mpinga.

Po drodze, tuż obok naszego kościoła, O. Teofil jednej z naszych parafianek udzielił Sakramentu Chorych.

Jest godzina 15.00. Słońce stało się trochę litościwsze, więc można bezkarnie wyjść na światło dzienne. Jest to również najlepsza pora na zdjęcia fotograficzne, więc zabieramy ze sobą aparaty.

Jak Ojciec wie, Bóg nie obdarzył mnie zbyt wysokim wzrostem, bo przecież i w Mauhusen wołano na mnie „du klein”, więc jestem ogromnie ciekaw, jak wyglądają też mniejsi ode mnie ludzie i cieszę się, że będę nareszcie na kogoś „z góry” patrzeć!

O. Teofil poleca zabrać ze sobą latarki elektryczne, gdyż do zachodu słońca pozostają tylko trzy godziny, a w Burundi nie ma zmierzchu. Po zachodzie zapada ciemna noc!

Na skraju eukaliptusowego lasu spotykamy dwie starsze kobiety. Tępyimi toporkami próbują wyłuskać trochę drzazg z powalonego pnia.

Idzie im to bardzo trudno, bo suchy eukaliptus jest twardszy od naszego dębu. Siekierki odbijają się jak od kauczuku! Widocznie na Boże Narodzenie zabrakło wysuszonego nawozu zebu i nie mają czym ognia podsycić.

Po paruset metrach kończy się las i wchodzimy w suchy step. Zwracam uwagę na regularne otwory w ziemi. Wyglądają tak, jak gdyby tutaj były wbijane kołki harcerskiego namiotu.

- To nie otwory po namiotach – informuje mnie O. Jan – tu znajduje się węzowisko. Ale teraz, po południu węże już pochowały się do ziemi, bo tam jest cieplej jak na powierzchni! Można zatem iść bezpiecznie.

Bezpiecznie! – pomyślałem sobie, - to tak znowu nie jest, tym bardziej, że na nogach miałem lekkie sandały.

Węże rzeczywiście szukały ciepła we wnętrzu ziemi, więc dość szczęśliwie dotarliśmy do osiedla Batwa.

Pigmejów czeka los czerwonoskórych Indian, bo jak mnie później informował O. Cornelissen, w całej Afryce jest ich niewiele ponad 120 tysięcy.

Są rzeczywiście niskiego wzrostu. Wzrost mężczyzny nie przekracza 140 cm. Posługują się językiem ludów Bantu, który przyjęli od ludów o wyższej kulturze. Ponieważ nie uprawiają roli, prowadzą koczowniczy tryb życia. mężczyźni trudnią się myślistwem i

dlatego w wiosce nie zastajemy mężczyzn. Są tylko same kobiety i dzieci. Rozmawia z nimi oczywiście O. Teofil.

Chcąc ich dobrze do nas usposobić, zaprasza ich jutro do naszego domu po dary. Wiadomość wywołała ogromną radość, Pigmejka, która z nami rozmawia wykonuje na naszą cześć taniec. Tańczą również golutkie dzieci, które na czworakach wychodzą z kilkunastu szałasów. Sama rozmówczyni też skąpo odziana w spódniczkę z liści bananów i resztki sweterka, który rok temu otrzymała od naszych ojców misjonarzy.

Pytam, gdzie mężowie.

Poszli na łowy, bo wioska jest głodna. Szalasy strasznie liche. Kilka patyków bambusowych zatkniętych w ziemię i przykrytych liśćmi bananowymi. Wnętrze pokryte trawą.

Kobieta, która z nami rozmawia – ona widocznie zna trochę kirundi – pokazuje nam swoje skarby. Wysypuje z papierowej torby ścinki blachy, połowę nożyczek, kawałek rurki, puszkę z neski, kawałek sznurka, różową kokardę, motek wełnianej włóczki.

Powoli wracają inne kobiety z chrustem na głowach, bo lada chwila powrócą mężowie z polowania.

Zwierzyny łownej jest niewiele w Burundi, ale obóz Pigmejów leży nad rzeką, w której nigdy nie wysycha woda, więc gazy i antylopy pod wieczór ciągną do wodopoju.

Po chwili słychać krzyki. To dzieci dostrzegły wracających ojców z gazelą. Momentalnie rozpalają ognisko, odzierają ze skóry zwierzę, patroszą i zaczyna się święto, które będzie trwać tyle godzin, ile kilogramów waży gazela. Mają wyliczony czas pieczenia. Na upieczenie jednego kilograma antylopy względnie gazy potrzeba jednej godziny. Tę opieczoną część skrawają nożami. Kobiety przyniosły pombe, czyli bananowe piwo, więc przeżywają pełnię szczęścia. Gazela według mej oceny waży około 80 kg, uczta będzie więc trwała prawie trzy dni i trzy noce. Menu będzie uzupełniane larwami jadalnych owadów, ślimakami, termitami i drobnymi kręgowcami, których tutaj nie brakuje. Oczywiście, że innej broni jak niezbyt nośny łuk z zatrutymi strofantem strzałami, nie znają. Niektórzy posiadają noże.

Po jakimś czasie, przynoszą się w inną okolicę. Są monogamistami. Poligamia jest rzadkim u nich zjawiskiem. Dzieci bardzo dużo, ale wiele z nich umiera z braku zdrowotnej opieki. Obecnie rząd wydał bardzo surowy przepis, że nie wolno szukać żony w tej samej hordzie i dlatego dziewczęta kupuje się w innych wioskach, albo wymienia się między sobą.

W religii na pierwszy plan wysuwa się magia, zdaje się jest kult przodków i Kirango, boga o kamiennym obliczu.

Są bardzo muzykalni i jak wszyscy czarni „ogromnie kochać taniec”. W tańcu posługują się grzechotkami, niewielkimi tam-tamami i muzycznym łukiem zwanym „Umumdiri”.

Miejscowy rząd niewielką zwraca uwagę na Pigmejów. Swego czasu Belgowie starali się osiedlić te koczownicze plemiona, ale bez większych rezultatów. Trudno ich chyba nauczyć uprawy roli, bo nie mają nawet tych prymitywnych narzędzi, którymi posługują się miejscowe szczepy Tutsi i Hutu; poza wymianą dziewcząt, nie mają innej formy handlu. Nawet skór nie potrafią spieniężyć. I co najdziwniejsze, z chwilą, kiedy się ich zmusi do życia osiedlonego, bardzo łatwo zapadają na zdrowiu. Po prostu nie potrafią żyć bez buszu! Tacy afrykańscy Cyganie!

Ojcowie Biali, którzy przed naszym przybyciem pracowali w Mpinga, usiłowali zmniejszyć wysoką śmiertelność wśród dzieci, a jeden z nich przez kilkanaście miesięcy zamieszkiwał z nimi, ale owoce jego pracy były żadne. Opowiadali mi Ojcowie Biali, że powstało kilka grup misyjnych, które nadal próbują dzielić sposób życia Pigmejów i przebywają z nimi w buszu, starają się wejść z nimi w jak najbliższy kontakt. Próbuje ich nawet uczyć trudnej sztuki czytania i pisania, by przy okazji głosić im zasady Dobrej Nowiny. Z naszej ekipy, na takiego wędrownego misjonarza nadawałby się – mówiliśmy między sobą – O Kasjan. I gdyby miał trochę więcej cierpliwości, mógłby tutaj wiele zdziałać. Szkoda, że się tak prędko zniechęcił!

Wracając od Pigmejów, poszliśmy w „odwiedziny” do małpiego raj. Tu koło Mpinga, jest teren, który sobie upodobały szympansy. Żyją gromadami. W pojedynkę nie jest bezpiecznie zapuszczać się tutaj, ale, że nas było aż czterech, więc dość odważnie zaczęliśmy przywoływać mieszkańców małpiego raj. Małpy nawołuje się naśladując ich głosy podobne do szczekającego psa. Tym razem żadna się nie pokazała. Przez małpi raj prowadzi droga do sąsiedniej wioski. Czarne kobiety nigdy nie idą w pojedynkę, bo zdarza się, że stary małpiszon napada na pojedynczych przechodniów, porywa koszyk z głowy i ucieka na przydrożne skały!

Przezorność O. Teofila okazała się zbawienna, bo wracaliśmy do Mpinga w zupełnej ciemności. Niepokoił się o nas O. Klaudiusz, bo jego właśnie kiedyś pod przewodnictwem małpiszona napadło całe stado szympansov, tak, że ze strachu zmykał do samochodu.

W domu zastaliśmy gości. Przyjechali do nas dwaj Ojcowie z sąsiedniej misji, na polowanie nad tę rzekę, o której Ojcu poprzednio wspomniałem. Opowiadali, że można tam upolować nawet lwa lub lampartę, nie mówiąc już o antylopach i gazelach. Mając w pamięci piękny opis Henryka Sienkiewicza polowania w Afryce równikowej, miałem ogromną ochotę na tę nocną wyprawę, ale było to przecież Boże Narodzenie, więc nie wypadało mi ten wielki i święty dzień polowaniem kończyć.

Zamiast pójść na polowanie, siadłem przy stole i ten list Ojcu i naszym Przyjaciołom misyjnym napisałem.

Z misyjnym pozdrowieniem i wyrazami wdzięczności

O. Bogusław Woźnicki

Mpinga, 26. 12. 1976 r.

Drodzy Przyjaciele naszej Polskiej Misji!

W Polsce drugi dzień Świąt. Uroczystość św. Szczepana, tutaj w Burundi już po Świątach. Na mikroskopijnych półkach pracują Czarni. Sadzą fasolę, maniok, zrywają banany. Poprzedni Ojcowie Misjonarze, pochodzący przeważnie z Belgii, gdzie również nie świętują w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, nadali taki profil tutejszemu katolicyzmowi.

Nam, Polakom, wydaje się to trochę dziwne, więc u nas na misji dzień świąteczny. Brak Marceli zwolnił pracowników na dwa dni. I dlatego dzisiaj również cisza wokół naszego domu.

Oglądamy, czy nocne trzęsienie ziemi nie wyrządziło jakich szkód w domu i kaplicy. Jest zarysowana ściana nad główną bramą, ale nie groźnie. Jak to dobrze, że w rejonie sejsmicznym misjonarze budują parterowe domki i niewysokie świątynie!

Misjonarze pytają z uśmiechem, czy bardzo się w nocy bałem, ale ja udaję starego wygę misyjnego, któremu nie tylko lew nie straszny, ale nawet oberwanie chmury i trzęsienie ziemi.

Niemniej jednak jestem niewyspany, ale nikomu się do tego nie przyznaję i wyprawę do Failles de Nyakazu podejmuję bez zwykłego entuzjazmu.

Na misji zostaje sam O. Klaudiusz – O. Teofil, O. Jan Kanty, O. Jan Wołek, O. Sylwan, O. Józef – wsiadamy do Toyoty i ostrożnie zjeżdżamy w dół.

Droga prowadzi przez teren misji protestanckiej w Kayoro. Ma doskonałe położenie. Oni byli tu w Burundi pierwsi, jeszcze przed katolikami. Zachęcił ich do osiedlenia się właśnie tutaj sam znakomity podróżnik i dziennikarz angielski, Stanley. To on utorował drogę pierwszym misjonarzom w Ugandzie, Burundi i Rwandzie.

Wokół misji wspaniały szpilkowy las. Ślicznie wyglądają długoszpilkowe afrykańskie sosny. W powietrzu unosi się balsamiczny zapach wydzielających się olejków eterycznych. Rosną również inne szpilkowe drzewa, podobne do naszej daglezji, okazałe, 20 m wysokie drzewa podobne do cyprysów o jasnozielonych igłach i kulistych szyszkach, no i najwyższe, afrykańskie eukaliptusy. Tu sadi się przede wszystkim na terenach błotnistych. W kraju o wybitnym deficycie wody, jak Burundi, te drzewa nie są pożądane, ale są bardzo pożyteczne, gdyż dostarczają opału. Trudno, żeby misjonarze palili nawozem zebru.

Pięknie przedstawia się i ogród owocowy. Najniższe piętro stanowią ananasy, dalej widać seledynowy las – to banany. Podziwiam kwitnące o tej porze drzewa pomarańczowe, ale najwięcej jestem zachwycony tym, że jednocześnie na tych kwitnących drzewach dojrzewają pomarańcze. Z podobnym fenomenem nie spotkałem się jeszcze nigdy w życiu.

Papaje, mango, passiflora, śliczne owoce podobne do naszych pomidorów, zwane tutaj nie wiem czemu, śliwkami japońskimi, świadczą o dobrych gospodarzach.

Gdy dodam, że misja posiada wodną turbinę do wytwarzania energii elektrycznej – to tylko pozazdrościć! Ale nie zazdroszczyć. My też wnet będziemy mieli własną wytwórnię energii, bo w Musongatii, nasz kochany O. Józef już zbudował wiatrak. My także będziemy mieli wspaniałe ogrody wokół naszych domów misyjnych, bo nauka uprawy pożytecznych roślin wchodzi również w zakres naszego nauczania.

Przepraszam, że tak szeroko rozpisałem się o tej misji, ale chcę być obiektywny, tym bardziej, że współzycie z protestantami układa się w duchu ekumenicznym.

Bądź co bądź, jest ich tutaj aż 175 tysięcy i z ich obecnością nasi misjonarze muszą się liczyć.

Placówek misyjnych niekatolickich – jest ponad 20. Niektóre z nich jak Kwibuku koło dawnej stolicy Gitegi, w Bujumbura, Kayogoro koło Makamby, są w kwitnącym stanie. Pomyślałem sobie, że to jeszcze jeden powód, aby dołożyć wszelkich starań, by i nasza Mpinga i Musongati, a w przyszłości – Muliza, gorsze nie były!

Z Kayero do Failles de Nyakazu już nie daleko. Samochód zostawiamy obok dawnego więzienie niemieckiego, jedyna dobrze zachowana budowla poniemiecka! – a sami schodzimy w dół. Trzeba iść ostrożnie, bo trawa podobna do naszej psianki na Leskowcu, a zatem ogromnie śliska.

Po godzinie ustawicznego schodzenia w dół, oczom naszym przedstawia się fantastyczny widok. Szereg gór jest przepołowionych w dół. Wygląda to tak, jakby jakiś olbrzym potężnym toporem rozplątał te góry na dwoje! Szczeliny szerokie na 1 km, głębokie na 300 metrów, parę kilometrów długie – są niedostępne dla zwykłych turystów. Tylko piątka z Nawaronne z Maaloryn na czele mogłaby się pokusić zejść na dno, gdzie szumi wesoło potężny strumień wypływający z drugiej połowy rozplątanej góry. Masy wody z ogromnym łoskotem spadają z wysokości 200 metrów. Na dnie rozpadliny rosną wspaniałe drzewa. Nikt ich nie niszczy, mają dość wilgoci, więc nic dziwnego, że paprocie sięgają wysokości naszych wierzb. Tam, gdzie nie ma drzew, dno doliny pokryte jest soczystą zielenią, pośród której rozróżniam afrykańskie kany. Olbrzymie mimozy, rozłożyste eukaliptusy, akacje. Rozpoznałem stanowiska akantu o pierzastodzielnych ząbkach. Białe, różowo-białe, fioletowe i niebieskie kwiaty wyglądają jak barwne plamy rzucone na szmaragdową płaszczyznę. Schodzę jak najniżej, nie zważając na to, że niebawem trzeba się będzie wspinać w górę!...

Słychać tylko szum spadającej wody. Powietrze wilgotne. Nad miejscem, gdzie woda rozbryzguje się w miliardy kropelek tworząc przeźroczystą mgłę, widzimy różnobarwną tęczę. Poza tym cisza.

Widzimy szybującego stepowego orla, który na drzewie wyrosłym nad 300-metrową przepaścią zbudował wspaniałe gniazdo. W pewnym momencie, król ptaków jak strzała rzuca się na małą gazelę, która niebacznie wychyliła się z poszycia doliny i zbliżyła do wody.

Krzyczymy, klaszczemy w dłonie, by przestraszyć drapieżnika, ale na próżno. Wodospadu nikt nie przekrzyczy. Mimo to, do uszu dolatuje przerażony głos nieszczęsnej ofiary, podobny do płaczu bezbronnego niemowlęcia!...

Prawo dżungli – musi umierać ktoś, żeby mógł ktoś żyć!

Powoli, z najwyższym trudem, że to i kilogramy i latka teraz człowiekowi przeszkadzają, wspinam się na wierzch, żałując, że gdy schodziłem w dół, nie wbiłem mocnego haka i nie rozsunąłem linki!...że nie potoczyłem się w dół, najlepszy dowód, że ten list jeszcze piszę.

Wracając do domu, zbieramy jakby przez kamieniarzy obrobione kamienie. Przydadzą się podobno Ojcu Sylwanowi przy budowie naszego foyer social w Mpinga.

Pogoda, mimo pory deszczowej, jak na zamówienie. Niebo bez żadnej chmurki. Mam ochotę wybrać się również do Chutes de Shanga, ale wiele czasu zeszło nam na wspinaczkę, więc może innym razem.

Po powrocie na misję dowiedzieliśmy się, że nasz Biskup Ordynariusz ks. dr Joachim Ruhuna chce się z nami widzieć. Jutro więc czeka nas droga do Ruyigi.

Tymczasem pozdrawiam najserdeczniej wszystkich Przyjaciół naszej misji w Polsce i w Kanadzie w USA.

O. Bogusław Woźnicki
Sekretarz misji Karmelitów Bosych

Listy O. Teofila:

Mpinga, grudzień 1976r.

Drogi Bracie w Panu!

Tobie, Twojej Rodzinie i Wszystkim Przyjaciołom naszej karmelitańskiej misji zamieszkałym w Gdyni i okolicy, przesyłam bardzo serdeczne życzenia obfitych łask od Bożego Dzieciątka i wszelkiej pomyślności w każdym dniu Nowego Roku, pomyślności pod troskliwą opieką Bożej Opatrzności i macierzyńskim wejrzeniem Maryi.

Wiem, że te moje życzenia bardzo się opóźniają, tym bardziej, że dla oszczędności przesyłam je „okrężną drogą”, ale pragnę zapewnić, że przy Bożym Żłóbku będę szczególnie pamiętał. Nie może przecież być inaczej. Kiedy bowiem wciąż nowe dochodzą nam wieści o Waszym szczerym oddaniu naszej sprawie, serca nasze chcą odplacić pełnią wdzięczności. Ponieważ nie stać nas na nic innego, ofiarujemy Bogu w Waszej intencji nasze trudy i nasze modlitwy. Ufamy, że On potrafił Wam stokrotnie zapłacić.

Bardzo serdecznie dziękuję za przesłane życzenia świąteczne. Otrzymałem je w sobotę i czytałem z prawdziwym wzruszeniem. Szczególnie wdzięcznym sercem przyjmuję to zapewnienie: Będziemy Was wspierali ofiarą, dobrym życiem i modlitwami. To dla nas jest bezcenne! Ufamy, że Bóg, dzięki Waszym modlitwom, przez nas słabych okaże moc swojej Ewangelii.

Skoro wieści dochodzą z moich ogólnych listów nie będę ich tu powtarzał. Na razie nasza misyjna praca, to mozolne uczenie się języków i poznawanie terenu pracy. Żniwo to rzeczywiście wielkie, serca otwarte naprawdę, może właśnie dlatego, że nie przygłuszają ich nasze europejskie „wielkie” sprawy i zagonienie za dobrobytem, za przyjemnościami. Oni tu bardzo proszą i bardzo ubodzy, bardzo też bezradni w tej swojej biedzie; mimo wszystko jednak widzący w Bogu Dobrego Ojca.

Myślę jednak, że jeszcze o nich nie raz wypadnie nam rozmawiać, bo przez nas stają się dla Was bliskimi Braćmi, tym bliższymi, że wspieracie ich swoją ofiarą i modlitwą. Odplacić Wam mogą swoją modlitwą. Z jaką żarliwością modlą się za swych Braci w dalekiej Polsce, dziękując Bogu i prosząc o łaski dla tych, którzy ich wspierają. To przecież jest jakoś bardzo zrozumiałe, że matka, która patrzyła bezradnie na swoje umierające z głodu dziecko - a teraz może nakarmić je, dziękuje... Dziękuje też serdecznie matka, której dziecko może pójść do szkoły, bo otrzymało sukienkę.

To na razie tyle, Drogi Bracie! Bóg Ci stokrotnie zapłaci za Twoje troski o nas i staranie.

Wszystkim, którzy przez Ciebie stali się naszymi Przyjaciółmi przekaż nasze serdeczności, naszą szczerą wdzięczność i nasze zapewnienie o gorącej wzajemnej modlitwie.

Łaska, pokój i radość Boża niech zawsze będą z Wami!
Z uśmiechem i błogosławieństwem

br. Teofil Kapusta

Mpinga, 19 luty 1977 r.

+ Droga Siostró w Panu!

(...) Od marca opiekę nad trędowatymi w naszych parafiach obejmuje S. Bernarda Baran, polska szarytka z sąsiedniej parafii. Ona jest odpowiedzialną za opieką nad trędowatymi w całej parafii. Teraz nie buduje się już specjalnych Leprozoriów, ale leczy się trędowatych w ośrodkach zdrowia. S. Bernarda stara się i dostarcza lekarstwa oraz wizytuje ośrodki. Nie jest to jeszcze całkowite załatwienie sprawy tych biedaków, bo po wioskach zostają tacy, którzy do ośrodka zdrowia nie pójdą. Trzeba do nich dotrzeć i leczyć, aby ta choroba nie rozszerzała się dalej.

Co do nas, to żyjemy i pracujemy. Właśnie rozpoczęliśmy rekolekcje wielkopostne. Przy tej okazji przeprowadza się wybory do rady parafialnej i do rad na stacjach misyjnych. Każda z wiosek będzie miała swoich delegatów, a mamy w parafii ponad 100 tych wiosek. Przy okazji wyborów sprawdza się stan duchowy każdej wioski. Nie jest to łatwa praca, ale ukaże nam prawdziwe oblicze parafii; będziemy też mogli konkretnie każdej wiosce uświadomić, jak to u nich jest z wiarą i gorliwością. Mimo dobrej woli, w wielu sprawach nie dociągają. Ale ufamy, że praca wyda owoce.

Na polu budowy: w Musongati pozostaje wykończenie szkoły, gospodarstw, czeka budowa domu dla nauczycielek (już zaczęta budowa i czekają na pomoc). Nie możemy ich zawieść. Może uda się zdobyć cement, żelazo, eternit i grosz dla murarzy.

Przepraszam, że już kończę. Muszę jeszcze przygotować kazanie na jutro. Jutro też jadę na zebranie rady diecezjalnej, więc będzie okazja wysłania listu.

A co u Ciebie, Droga Siostró? Co ze zdrowiem? Jak trzyma się cała droga nam grupa naszych Przyjaciół z Lublina i okolicy?

Nigdy nie zapomnę o Was w naszych modlitwach i naszej pracy.

Bardzo serdecznie wszystkich pozdrawiam w Panu i na wzajemną modlitwę bardzo liczę! Z Bogiem!

Wdzięczny misjonarz z buszu
br. Teofil St. Kapusta OCD
Bóg zapłać za wszystkie karteczki i listy.

Mutaha. 18 marca 1977

+ Drodzy Przyjaciele!

Bardzo serdecznie pozdrawiam w Panu!

Od mojego ostatniego listu nic szczególnego u nas nie zaszło. Chcę jednak porozmawiać z Wami, gdyż znalazłem chwilę wolnego czasu. Nie, nie tylko dlatego. Także z potrzeby serca!

Na stacji misyjnej w Mutaha, tuż przy granicy Tanzanii, prowadzę rekolekcje wielkopostne. Niezbyt wielu tu wiernych, więc dwie nauki, droga krzyżowa, spowiedź, różaniec i Msza św. z długą homilią. Skończyliśmy już na godzinę 14.00. Potem trochę

rozmów i ludzie odeszli, bo mieszkają daleko, zagubieni w buszu. Teraz trochę deszczu, więc nie można iść w odwiedzin. Korzystam zatem z chwili czasu i piszę ten list. Będzie to trochę szczególny list. Zamierzam bowiem odpowiedzieć wreszcie tym, którzy pytali w listach o tutejsze zwyczaje związane ze śmiercią. Wprawdzie to nie listopad, ale przecież i w Wielkim Poście stoimy w obliczu śmierci i to śmierci krzyżowej, która zwyciężę naszą śmierć i otwiera bramy wiecznego życia w chwale zmartwychwstania.

Mam nadzieję, że nie tylko pytający, lecz wszyscy, którzy są z nami sercem, przeczytają z zainteresowaniem, jak na śmierć patrzą nasi ludzie! Jakie zwyczaje były lub są z nią związane?

Zaraz na wstępie muszę zaznaczyć, że nie potrafię wyczerpująco omówić tematu, bo nie znam jeszcze wielu spraw związanych ze śmiercią, a nie często można przeprowadzić wyjaśniające rozmowy, gdyż Burundczyk nie lubi mówić o śmierci. Dlaczego? Z obawy, aby przez mówienie o niej nie sprowadzić jej na siebie lub na swoich bliskich. Sami Burundzycy nie potrafią też wyjaśnić zwyczajów związanych ze śmiercią. Gdy ich zapytać, dlaczego tak, a nie inaczej należy postępować? – odpowiadają bardzo proso: „To jest obyczaj praojców, od urodzenia widziałem, że tak się robi. Kto by tego nie zachował, doznałby przekleństwa zmarłego”.

A jednak to, co chcę tu napisać, jest opowiedziane przez Burundczyków, którzy jakoś próbują wyjaśnić, to co sami przeżywają. Jest zebrane z dostępnych mi źródeł, spisanych przez badaczy tutejszych zwyczajów i kultury.

Dla przejrzystości podzielimy temat na zagadnienia: 1. śmierć i pogrzeb, 2. żałoba, 3. zakończenie żałoby.

1. Śmierć i pogrzeb

Jaka jest postawa Burundczyka wobec śmierci? – Przede wszystkim śmierć dla niego nie jest jakimś przypadkiem, jakimś nieprzewidzianym wydarzeniem. Jest ona wrogiem potężnym, bliskim, nieodłącznym od losu człowieka. Człowiek czuje się w każdej chwili zagrożony przez nią. Niektóre nazwiska noszone przez ludzi wyrażają to bardzo dobitnie. Np. Rurihafi = śmierć jest bardzo blisko, Rurihose = ona jest wszędzie. Rurwaha = ona jest tuż, Rurimunzu = ona jest w domu.

W obliczu tej wszędzie obecnej śmierci, przed którą nigdzie nie można uciec, Burundczyk przybiera postawę fatalistyczną. Jest wiele przysłów i powiedzeń, które obrazują tę postawę. Np.: „Kogo los przeklnie, tego też zabije”, „Granicy, która wytyczył ci Bóg, nie przekroczysz”, „Trzeba przyjąć to, co los niesie”, „Nie przeszkodzisz nieszczęściu”...

Śmierć jest czymś nieuniknionym, z góry zaplanowanym i przeznaczonym każdemu człowiekowi. To, co tu może człowiek zrobić, to stanąć oko w oko z tą rzeczywistością i przyjąć ją spokojnie, po stoicku, mężnie. Dlatego też nie należy obawiać się iść na śmierć pierwszym. To nawet lepsze, bo ‘ jeżeli śmierć ma dotknąć twoją rodzinę, lepiej, by zaczęła od ciebie’. Zresztą „umiera się tylko raz, potem wszystko skończone.” Cóż zresztą pomoże strach? „Umrzeć to głupstwo, to sprawa prosta, przecież życie jest tak kruche! Umrzeć, to tyle co przedrzeć liść!”.

Czego Burundczyk pragnie? To „umrzeć dobrze”. Znaczy to, umrzeć po możliwie najkrótszej chorobie i w otoczeniu swej rodziny.

Ta postawa stoickiego spokoju wobec śmierci nie oznacza jednak czekania na nią z założonymi rękami. Wprost przeciwnie, należy zrobić wszystko, by się przed śmiercią obronić. Rzeczywiście rodzina ciężko chorego robi wszystko – od wezwania czarownika i stosowania różnych leków do wezwania księdza, do modlitwy – i nie traci nadziei, dopóki umierający nie wyda ostatniego tchnienia. Dzisiaj, potrafią nieść chorego w specjalnych noszach całe dziesiątki kilometrów do ośrodka zdrowia.

Skąd zjawiała się śmierć wśród ludzi? – Pewne legendy i podania na temat pochodzenia śmierci mówią, że kiedyś był czas, kiedy to ludzie żyli szczęśliwie i wcale nie umierali. Żyła wprawdzie śmierć w jakiejś odległej, nieznannej krainie, ale nie mogła szkodzić żyjącym. Dopiero kiedy ludzie zaczęli się zadawać ze śmiercią, lekceważąc zabiegi Boga, który chciał ich przed nią uchronić, śmierć weszła między ludzi. Oto np. jedna z tych legend: Kiedyś ludzie żyli szczęśliwi i nie umierali wcale. Ale pewnego dnia śmierć ścigana przez Boga i Jego wysłanników, w momencie gdy już, już miała być schwytana, poprosiła o schronienie u pewnej staruszki. Ta początkowo chciała ją wydać ścigającym, ale ostatecznie zdjęta litością ukryła ją, po prostu połknęła śmierć. Na pytanie ścigających: gdzie ukryłaś śmierć – odpowiedziała, przysięgając uroczyście, że nikogo nie widziała. Bóg, który wszystko wie i wszystko widzi, oznajmił: „Chciałem was obronić przed śmiercią na zawsze; odtąd jednak będzie ona zabierać i ukrywać wszystkich najbliższych tak, jak wy ją ukryliście. Nie mogę jej zabić, nie zabijając was.” Odtąd zaczęło się całe nieszczęście: ludzie umierają bez względu na rasę lub kolor skóry.

Inna legenda mówi: Kiedyś ludzie umierali wprawdzie, ale nie umierali na zawsze. Po trzech dniach wracali do życia, zmartwychwstawali. Pewien człowiek miał dwie żony, które nienawidziły się wzajemnie. Pewnego dnia jedna z nich zmarła i została pochowana w domu obok łóżka. Właśnie wtedy mąż musiał odejść, wezwany na dwór królewski. Przed odejściem przykazał pozostałej przy życiu żonie: „Gdy zobaczysz trzeciego dnia, że ziemia na grobie porusza się, odwal ją natychmiast i wydobądź twoją towarzyszkę”. Ale niestety, kiedy trzeciego dnia kobieta zobaczyła poruszającą się na grobie ziemię, porwała tłuczek i zaczęła walić w grób, wołając: „Zemrzyj zupełnie, zemrzyj na zawsze, nie pojawiaj się więcej między żyjącymi!”. Odtąd ludzie zaczęli umierać na zawsze.

Trudno tu osądzać naiwność tych legend. Jedno zdają się mówić: „Śmierć zdobyła władzę nad ludźmi pewnego dnia i to dzięki błędom samych ludzi; dzięki naiwnej litości i dzięki wzajemnej nienawiści”.

W rzeczywistości – dla Burundczyka – śmierć naturalna istnieje tylko w wypadku ostatecznego zużycia sił organizmu, w wypadku ostatecznych granic starości. W każdym innym wypadku śmierć jest nasyłana przez kogoś za pomocą czarów, trucizny lub rzuconego uroku. Stąd później pytanie skierowane do czarownika: „Kto był przyczyną śmierci?”. Stąd później niesnaski i nienawiści. Stąd usiłowanie zemsty. Ale to już osobne zagadnienie.

Wróćmy do śmierci, nie tej niespodziewanej, nagłej, ale tej zapowiedzianej przez ciężką chorobę. Najbliżsi i przyjaciele żywo interesują się stanem ciężko chorego. Kiedy zawiodą wszystkie środki i sytuacja staje się poważna, rodzina czuwa przy umierającym całą noc. Sąsiedzi przychodzą podtrzymać na duchu rodzinę i często czuwają z nią do późnych godzin nocnych.

Gdy umierający jest ojciec rodziny i kiedy stan jego zdrowia staje się ciężki, rodzina prosi, by rozporządził swoimi dobrami. Wielu czyni to zanim ich stan stanie się

beznadziejnym. Wtedy ojciec rodziny, trzymając w ręku lancę – znak swej władzy – każe zbliżyć się swoim dzieciom. Stają przy nim według wieku, synowie i córki, by przyjąć ostatnie polecenia ojca i każdy swoją część dziedzictwa. Ojciec wręcza swą lancę najstarszemu synowi, przez który to gest on staje się głową rodziny ze wszystkimi władzami i obowiązkami związanymi z tą godnością. On będzie czuwał nad wykonaniem ostatniej woli ojca, on będzie rozkazywać braciom i siostram, on będzie dbać o potrzeby każdego z nich, szczególnie w czasie zakładania przez nich rodziny, on będzie dbać o dobre imię rodu. Czasem tę władzę otrzymuje niekoniecznie najstarszy syn, ale ten, którego ojciec uzna za godniejszego i zdolniejszego do wypełnienia obowiązków głowy rodziny. Córki nie mają prawa dziedziczenia po ojcu. Przez małżeństwo wejdą do innej rodziny. Zostają jednak oddane w specjalną opiekę najstarszego brata, nowego szefa rodziny. Prawa nabyte przez testament nabierają mocy po zatwierdzeniu rady starszych wioski w dniu zakończenia żałoby.

Kiedy ojciec rodziny umrze, czego znakiem jest zatrzymanie bicia serca i oddechu, rozlega się okrzyk bólu i alarmu, którym zawiadamia się sąsiadów, że śmierć zabrała członka rodziny. Okrzyk: jooo, jooo...ooo, przerywany przykładaniem rąk do ust można usłyszeć często, rozlega się daleko. Kiedy już zbiegają się sąsiedzi, okrzyki te przeplatane są słowami uznania i przywiązania do zmarłego. Woła się np.: „Jooo... odszedł ten, który rozpraszał naszą samotność! Jooo... nie człowiekowi przeznaczone żyć długo! O, jooo...jooo... to był człowiek sprawiedliwy, kolumna podtrzymująca nasz dom, drzwi wejściowe! Jooo...wraz z tobą zgasło nasze ognisko! Z kim nas zostawiłeś?! Jakże jestem opuszczona!” – woła wdowa – „Teraz wszyscy śmiać się będą ze mnie! Ale idź, idź w pokój!”.

Rodzinę, która mieszka dalej, zawiadamia się przez specjalnych posłańców.

Po śmierci niektórych osób nie wolno wcale lamentować. Nie oplakuje się np. człowieka, który zginął od pioruna, bo wówczas innych członków rodziny mógłby spotkać ten sam los. Nie oplakuje się też dzieci, które jeszcze nie doszły do używania rozumu oraz dzieci nie odstawionych od piersi. W tym ostatnim wypadku zawiadamia się spokojnie sąsiadów, zwłaszcza sąsiadki, które przychodzą pocieszyć matkę.

Wróćmy jednak do zmarłego ojca. Natychmiast po śmierci i wydaniu okrzyku bólu i żalu, cała rodzina zbiera się przy zwłokach dla dokonania zwyczajnych obrzędów.

Najpierw dokonuje się namaszczenie ciała czystym masłem. Matka, synowie i wreszcie córki według starszeństwa podchodzą, by namaścić czoło, zamknięte oczy, pierś, dłonie i stopy zmarłego. Matka wymawia przy tym słowa: „Bądź dla rodziny, dla dzieci i dla mnie, przyczyna błogosławieństwa i dobrobytu”.

Następnie w niektórych okolicach, następuje „namaszczenie mąką” z sorga. Za pomocą małego kamienia, którym rozciera się ziarno na dużym kamieniu młyńskim, nasypuje się nieco mąki na czoło i dłonie zmarłego, wymawiając tę samą formułę: „Bądź...”.

Obydwie praktyki mają za cel wyrażenie czci dla zmarłego ojca i wyproszenie dla osieroconej rodziny błogosławieństwa jego ducha.

Teraz strzyże się i goli zmarłego, aby mógł godnie pokazać się w królestwie zmarłych.

Później ściąga się wszelkie ozdoby i amulety z szyi i rąk zmarłego (chrześcijanie zawieszają na jego szyi medalik i różaniec). Ściąga się także odzież.

Dawniej zaplatało się i związywało ręce na szyi oraz podginało nogi w kolanach i także podwiązywało. Zmarły był chowany w grobie wykopanym w formie kwadratu. Nie mieć kogoś, kto oddałby tę ostatnią posługę, było znakiem największego opuszczenia. Stąd

jedno z największych przekleństw: „obyś został pochowany bez podwiązania”. Dzisiaj ciało zmarłego w prostej postawie zwija się w matę i chowa w grobie podłużnym.

W dwie lub trzy godziny po śmierci zwłoki zmarłego bywają już gotowe do pogrzebania. Dawniej ojca i matkę rodziny grzebano wewnątrz zagrody. Dzieci chowano gdzieś w pobliżu domu. Grób wyścielano drobną trawą.

Dzisiaj grzebie się zmarłych na cmentarzu parafialnym lub na cmentarzu w poszczególnych wioskach. Złożenie do grobu jest obowiązkiem rodziny. Dokonują tego obrzędu mężczyźni. Chrześcijanie z pobliża parafii przynoszą ciało zmarłego do kościoła, by je kapłan pokropił wodą święconą. Przy okazji modlimy się za zmarłego i jego rodzinę. Kobiety nie biorą udziału w pogrzebie. Przez sześć lat tylko trzy lub cztery razy widziałem kobiety na cmentarzu w czasie grzebania zmarłych. W grobie zwłoki mężczyzny układa się na prawym boku, zwłoki niewiasty na lewym.

Pogrzeb chłopców i dziewcząt odbywa się niemal w ten sam sposób. Opuszcza się tylko namaszczenie masłem i mąką. W rękę zmarłego chłopca i dziewczyny wkładano wygasły węgiel drzewny na znak, że ich życie zgasło na zawsze bez wydania owocu, potomstwa.

Mężczyźni, którzy dokonali pogrzebania ciała zmarłego otrzymują piwo. Tymczasem w rodzinie rozpoczyna się żałoba.

Zanim o niej opowiem, chcę jeszcze wspomnieć o niektórych szczególnych wypadkach.

1. Gdy ktoś zginął od pioruna, był chowany na miejscu wypadku, bez strzyżenia, golenia i innych obrzędów. Nie był grzebany zupełnie. Jeden palec – a niektórzy mówią, że cała ręka – musi wystawać z grobu. Miejsce takiego grobu stało się miejscem przeklętym.
2. Osoby oskarżone o trucie lub rzucanie uroku, złodzieje krów, dziewczęta w ciąży, trędowaci i zmarli na zakaźne choroby... byli paleni lub wiązani i wyrzucani w busz. Nikt nie płakał nad nimi i nikt nie grzebał ich ciał. Służyły za pokarm hienom i szakalom.
3. Według wierzeń dawnych Burundczyków, król nie mógł umrzeć śmiercią naturalną. Powinien wypić zatruty miód i tak odejść w zaświaty. Jego zwłoki nie były chowane w grobie, lecz zawijane w delikatne maty i wynoszone w głębokie lasy przez osobny klan (rodzina strzegąca królewskie groby). Tam namaszczano zwłoki masłem przez cały dzień i następnie suszono zawieszone nad spokojnym ogniem. Czuwano przy nim, dopóki ostatecznie nie wyszedł z niego robak, który zgodnie z wierzeniem, rosnąc przekształcił się w lwa. Tego już nikt nie widział, ale tak wierzono. Duchy zmarłych członków rodziny królewskiej przechodziły w ten sposób w inne zwierzęta.

Jak mocne było i jest przekonanie o tym, niech świadczy następujące zdarzenie:

W naszej parafii Mpinga można spotkać stosunkowo więcej węzów niż gdzie indziej. W stolicy zjawili się „poszukiwacze węzów”, dla któregoś z belgijskich uniwersytetów. Zamawiali je żywe u naszych ludzi. Kiedyś nasz „łapacz węzów” przyniósł na misje dużego pytona, byśmy go jakoś przetrzymali do przyjazdu gościa ze stolicy. Zamknięto go w skrzyni. Po kilku dniach, zanim mógł przyjechać kupiec ze stolicy, wąż „zmarł”. Śmierć zauważono wieczorem. Postanowiliśmy, że jutro zakopie się węża w lesie i koniec. Tymczasem późnym wieczorem przychodzą nasze czarne siostry zakonne z uroczystym ostrzeżeniem, byśmy

czasem nie zrobili takiego błędu i nie zakopali węża w misyjnym lesie. Ale dlaczego? – pytamy. Bo potem, jakiegokolwiek nieszczęście zdarzyłoby się w Mpinga, ludzie przypiszą je ojcom. Nie, nie wolno go zakopać w misyjnym lesie! Trzeba wezwać „łapacza węzów”, niech go zabierze. Ale dlaczego taka ostrożność? – pytamy. Nie chciały wyjaśnić. Sięgamy zatem po słownik. Okazuje się, że pytom jest „węzem świętym”, bo w niego wcieliła się dusza pewnej księżniczki. Jakaś przedziwna historia z pytonem wydarzyła się dawno, za króla Mutaga w Kagondo tj. 5 km od Muramvyi. Westalka imieniem Barahemana, która miała mieć z tym ścisły związek, żyła jeszcze w 1960 roku (tak). Odtąd nikt nie ośmielił się zabić „świętego węża”.

Zawiadomiono zatem „łapacza węzów”. Przyszedł z dwoma czarownikami. Specjalnymi ziołami i płynami obmyli węża i skrzynię i ponieśli zmarłego węża w jakieś niedostępne miejsce, by go pochować w grobie, bo nuż właśnie w nią wcielona była ukochana księżniczka (tak po cichu mówiąc, zdarli skórę z węża, bo przecież i skórę kupią Europejczycy).

Rozmawiałem później na ten temat z niektórymi ludźmi. Śmieją się z tych bredni, ale wiedzą, że ogół prostych ludzi, także chrześcijan, tak wierzy i tak jest przekonany! Wróćmy jednak do tematu.

2. Żałoba

Żałoba trwała: po królu od 3 miesięcy do roku w całym kraju; po księciu – od 1 do 3 miesięcy w jego księstwie; po szefie wioski – cały miesiąc w jego wiosce; po ojcu lub matce rodziny od 5 do 12 dni; po chłopcu lub dziewczynie – 3 dni.

Nawet po „śmierci” psa była przewidziana żałoba jednego dnia, dla wszystkich, którzy czerpią wodę z jednego źródła.

Dzisiaj okres żałoby trwa zazwyczaj krócej.

Słowo „żałoba” ma tu szczególne znaczenie, także znaczenie społeczne. Dla Burundczyka żyć, to znaczy przynależeć do społeczeństwa, to uczestniczyć w uświęconym życiu przodków, to przekazywać to właśnie życie w dalsze pokolenia i w ten sposób przedłużać też samego siebie. Nikt nie umiera całkowicie, pozostaje jakoś w rodzinie i w społeczności.

Żałoba jest obowiązkiem dla bliższej i dalszej rodziny. Sąsiedzi nie muszą w niej brać udziału. Zazwyczaj jednak biorą w niej udział z potrzeby serca, by okazać współczucie rodzinie, by pomóc, by dokonać czynności, od których rodzina w żałobie powinna się powstrzymać. Obliczone to jest także na wzajemność, bo przecież sami mogą potrzebować pomocy w czasie żałoby.

Zanim rozpoczynała się żałoba należało: motykę, którą był grzebany zmarły pozostawić zatknietą na jego grobie, wynieść w jakieś niedostępne miejsce ozdoby i odzież zmarłego oraz jego łóżko (oczywiście, jeżeli je posiadał). Należało usunąć specjalne zakończenie dachu, usunąć jedną z belek podtrzymujących dach, usunąć jeden słupek w bramce wejściowej do zagrody. Najczęściej robiono bramkę w nowym miejscu, zagradzając dawną. Jeżeli zmarła matka, usuwano jeden z trzech kamieni ogniska domowego.

W czasie żałoby zaprzestano wszelkiej pracy w polu. Było to szczególnie uciążliwe w czasie żałoby po królu. Starzy ludzie pamiętają, że wtedy wychodzono uprawiać pola w nocy przy blasku księżyca, żeby nie zginąć z głodu. Okres żałoby był zresztą okresem postu. Tylko

sąsiedzi przynosili coś do zjedzenia, szczególnie dla dzieci. Nie wolno używać soli, mięsa, piwa, bananów. Należy powstrzymać się od wszystkiego, co przyjemne, także od pożycia małżeńskiego. Sól np. mogłaby pobudzić apetyt śmierci i mogłaby przyjąć „zjeść” kogoś z rodziny. Nie wymawiało się słowa jeść, bo to śmierć je, śmierć pożera.

Odbywający żałobę nie myli się, nie golili się, spali wprost na bananowych liściach. Nie zmiatano, nie palono ognia. Trudno tu wyliczyć wszystkie praktyki i zwyczaje obowiązujące w czasie żałoby. Wiele z nich zachowuje się skrupulatnie do dzisiaj, inne przeszły do historii, jako praktyki praojców.

Do dzisiaj jednak okres żałoby jest okresem „świętym” i ma wielkie znaczenia. On cementuje więź rodzinną i sąsiedzką.

Trzeba jednak szczerze zaznaczyć, że żałoba z jednej strony podyktowana jest przez szacunek dla zmarłego, przez chęć wyrażenia współczucia rodzinie dotkniętej nieszczęściem, jest także wyrazem strachu, jaki budzi śmierć i duch zmarłego.

Wraz ze śmiercią kogoś z krewnych czy sąsiadów zjawiała się „wśród nas” potężna pani, która nie oszczędza nikogo, która dla każdego może być niebezpieczna. Przez praktyki żałoby należy oczyścić ścieżki, którymi przeszła.

Burundczyk wie, że człowiek składa się z ciała i duszy. Ciało umiera, pozostaje jednak dusza, która może zaszkodzić ludziom, zwłaszcza gdyby się nie dopełniło wiernie żałoby. Żałoba zatem ma uodpornić żyjących przeciw szkodliwemu działaniu ducha zmarłego. Obawa przed tym działaniem jest wielka, dlatego np. od dnia śmierci nie wolno wymawiać imienia zmarłego. Zastępuje się je określeniem: ten, który odszedł, który zginał, chrześcijanie powiedzą: ten, który odpowiedział na wezwanie Pana, który został powołany przez Boga.

3. Zakończenie żałoby.

Chcę tu powiedzieć osobno kilka słów o zakończeniu żałoby, bo to szczególna uroczystość, po której powraca się do normalnego życia.

Wieczorem, w przeddzień zakończenia żałoby wszyscy jej uczestnicy strzygli sobie głowy. Dzisiaj już nie wszyscy to praktykują. Tej nocy wolno już było spożyć potrawy przedtem zabronione.

Wczesnym rankiem mężczyźni i chłopcy szli do odległej rzeki, by się wykąpać. Później nie mogli już się myć w tej rzece, ani czerpać z niej wody. Dlatego szukano rzeki odległej.

Tymczasem kobiety i panny zmywały cały dom i podwórko wodą przyniesioną wieczorem. Wszelkie śmieci i liście bananów, na których spano w czasie żałoby spalano na rozstajach dróg. Następnie kobiety myły się w domu.

Mężczyźni wracali od rzeki innymi ścieżkami. Przed wejściem do zagrody zastawiali dwie różgi wbite w ziemię przez sąsiadów. Pomiędzy różgami leżał na brzuchu chłopiec z sąsiedztwa. Inny chłopiec ukryty w domu wybiegał w tym momencie, przeskakiwał leżącego i uciekał. Przez cały dzień nie mógł się pokazać nikomu na oczy, zwłaszcza wdowie. To symbol śmierci, która właśnie „uciekła” z domu.

Przed południem cała rodzina odświętnie ubrana zbierała się w domu na ceremonię wypicia mleka. Sąsiad, proszony o to poprzedniego dnia, podawał uczestnikom żałoby mleko, poczynając od najstarszego syna. Jeżeli córki zmarłego wyszły już za mąż, otrzymywały

mleko z rąk swoich mężów. Małe dzieci nie mogły pić tego mleka, nawet nie mogły uczestniczyć w tej ceremonii.

Dawniej, synowie zmarłego ojca przed wypiciem mleka spożywali pewne zioła gotowane z krwią krowy. Nazywało się to „spożywaniem opieki” zmarłego. W niektórych bogatszych rodzinach zabijano z tej okazji krowę, którą spożywali uczestnicy święta zakończenia żałoby.

Dzisiaj zamiast mleka najczęściej używa się piwa z sorgo, do którego miesza się kilka kropel mleka. Ceremonia picia mleka kończy się przemówieniem gospodarza uroczystości. Jest to najczęściej któryś z sąsiadów. Mówi np. on: Przyjaciele przyszlście nas pocieszyć po stracie naszego drogiego zmarłego. Zechciejcie zatem podzielić naszą skromną ucztę. Wiecie dobrze, jakie miejsce zajmował w naszym życiu zmarły. Odszedł, lecz pozostanie z nami na zawsze, pozostanie z nami, którzy zostaliście przy życiu, pozostanie w swoim potomstwie. Weźmijcie w opiekę to potomstwo, które osierocił, weźcie w opiekę wdowę... Dzisiaj kończymy uroczyste żałobę, dzisiaj oznajmiamy, że drogi nam człowiek odszedł i dzisiaj wracamy do normalnego życia...

Kalebas, w którym podawano mleko przechowuje się w specjalnym miejscu w domu. Nie wolno go ruszyć, aż do śmierci następnego domownika. Gdyby go ruszyć, wypchnąłby, zabijając wszystkich członków rodziny. Wprawdzie tego nikt nie doświadczył, ale tak się wierzy.

W niektórych rodzinach po wypiciu mleka urządza się coś w rodzaju procesji dookoła pól zostawionych przez zmarłego. Na przedzie kroczy najstarszy syn z lancą i sierpem w rękę, za nim postępuje reszta rodziny z motykami niesionymi na głowie lub ramieniu.

Dopiero po tej procesji zaczyna się właściwe święto i to duże święto. Podaje się dużo piwa i następnie wiele przemówień, zgodnie z przysłowiem, które mówi, że mężczyzna nie idzie do tego, który urządza święto tylko po to, aby pić, ale idzie, aby podzielić się słowem. W przemówieniach wychwala się cnoty zmarłego, przypomina, co zrobił dla rodziny, wioski i dla kraju. To nie tylko rodzina straciła kogoś drogiego, lecz wszyscy. Jeszcze raz poleca się opiece rodziny i sąsiadów, wdowę i sieroty.

Jeżeli zmarły pozostawił długi, należy je przy tej okazji omówić i zdecydować, jak je spłacić. Kto przy uroczystości zakończenia żałoby nie wystąpił ze swoimi pretensjami, nie może później nawet wspominać, że zmarły był mu coś winien. Jeżeli wynikną sprawy zbyt zawiłe, by je natychmiast rozstrzygnąć (zwykle jest to już późna godzina nocy i podchmieleni nie są zdolni do jasnego myślenia), starszyzna wioski zobowiązuje się rozstrzygnąć sprawę później. Rodzina jeszcze raz podaje piwo i po rozejściu się gości wraca do normalnego życia.

No, nie zupełnie, bo jeszcze należy osobno zaprosić szczególnie bliskich przyjaciół rodziny, którzy na święto ofiarowali piwo. W innym dniu zaprasza się dalszych znajomych i sąsiadów, którzy kiedykolwiek oddali przysługę rodzinie.

Zmarłego będzie się jeszcze wspominać (bez wymawiania jego imienia) w specjalnym rycie czci dla duchów przodków, zwłaszcza wtedy, gdy rodzina sądzi, że duch ten jest o coś zagniewany.

Chrześcijanie wspomną o zmarłym w modlitwach. Czasem, szczególnie w rocznicę śmierci, poproszą o ofiarowanie Mszy św. za jego duszę.

Cmentarze bywają mocno zaniedbane. Odwiedza się je z okazji dnia zadusznego. Nie spotkasz na nich kwiatków, ponieważ często grzebie się zmarłych bardzo płytko, psy, szakale lub hieny rozgrzebują groby. Nikt się tym za bardzo nie przejmuje.

Kończę, Kochani, ten długi list. Jestem świadom, że i tak nie wyczerpałem tematu. Kończę, bo już gwiazdy zawędrowały daleko, noc w buszu wycisza się, tylko gdzieś w pobliżu słychać hukanie sowy.

Dobranoc zatem i „z Bogiem”, aż do następnego listu.

Nie zapominajcie pomodlić się, by Zmartwychwstały Chrystus rozpraszał cienie śmierci, które mrokiem strachu napawają serca naszych ludzi, by prowadził nasze serca ku nadziei wiecznego życia i chwały!

Wasz misjonarz z buszu
br. Teofil St. Kapusta OCD

Mpinga, 26 marca 1977

+ Droga Siostró w Panu!

Nic szczególnego u nas nie zaszło, ale pragnę przesłać bardzo serdeczne życzenia wielkanocne dla Ciebie i Wszystkich Drogich nam Przyjaciół naszej misji, którzy mieszkają w Lublinie i okolicy! Zapewniam, że w Tajemnicach Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy będziemy szczególnie pamiętać przed Panem.

Na wzajemną pamięć w modlitwach bardzo liczymy!

To na razie wszystko, bo już mnie wzywają do pomocy w rekolekcjach. Zostało jeszcze kilka serii, ale przy Bożej pomocy do Wielkanocy skończymy.

Serdeczności w Jezusie i Maryi i wyrazy serdecznej wdzięczności!

Misjonarz z buszu w Burundi
br. Teofil St. Kapusta

Mpinga, czerwiec 1977

+ Drodzy Przyjaciele!

Serdecznie pozdrawiam w Chrystusie Panu!

Chociaż mój ostatni list mówił o śmierci i chociaż zawierał wiele błędów stylistycznych i ortograficznych, wielu z Was przeczytało go z zainteresowaniem. Świadczą o tym Wasze listy, za które bardzo serdecznie dziękuję. Przyniosły one wiele nowych pytań. Mam nadzieję, że powoli doczekacie się na nie odpowiedzi. Dzisiaj pragnę pogwarzyć z Wami o naszych czarownikach. Wielu z Was sądzi bowiem, że to tylko tak dla podkolorowania listu wspominał misjonarz o czarownikach.

Zaraz na wstępie, parafrazując M. Konopnicką, muszę powiedzieć: „Czy to bajka czy nie bajka, mówcie sobie jak tak chcecie, a ja przecież wam powiadam: czarownicy są na świecie!” Jeżeli nawet nie ma ich na świecie, to w Burundi są bardzo liczni i mają duże znaczenie.

Trudno znaleźć w języku polskim słowa, które oddałyby treść naszych dwu słów: Umupfumu i umurozi. Należałoby zebrać w jedno to wszystko, co kryją takie nazwy jak: czarownik, czarodziej, znachor, wróżbita, jasnowidz, szarlatan, wiedźma, baba jaga, dobra i zła wróżka, czarnoksiężnik, guślarz i magik itp. Trudno zatem powiedzieć, kim jest nasz czarownik. Zresztą, wachlarz specjalizacji jest tu bardzo szeroki. Każdy jednak z czarowników – według przekonań naszych ludzi – zna tajemnice przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Każdy z nich posiada pewną władzę nad niewidzialnymi siłami natury. Czarownik potrafi te moce jakoś ująć i wykorzystać do dobrego lub złego. Stąd mamy czarowników dobrych i złych. Dobrych ludzie nazywają dobrodziejami, przyjaciółmi, ojcami i matkami. Złych natomiast nazywa się nieprzyjaciółmi, wrogami, sprawcami wielkich nieszczęść.

Dobry czarownik wstawia się za ludźmi i broni ich przed złymi, szkodliwymi, niewidzialnymi mocami. Dzięki duchowemu zaangażowaniu, dzięki zdolności odczuwania i przewidywania ludzkich myśli i pragnień, dzięki niezwykłemu talentowi przekonywania, którego moc płynie z przekonania i wiary ludu, że czarownik ma żywy kontakt z duchami, a nawet z Bogiem, dzięki znajomości wielu naturalnych leków, mogą czarownicy dokonać licznych dziwów, mogą oddać wiele przysługi ludziom, którzy im zaufali, mogą odwieść od złego i natchnąć do dobrego, mogą jednać poważnione rody, mogą leczyć... Zły czarownik natomiast może sprawić wiele zła, może budzić nienawiść, może pchać do zbrodni.

Skąd biorą się czarownicy?

Wiemy z historii, że wróżbiarstwo i czary były powszechnie praktykowane we wszystkich czasach. Wynikało to z pragnienia poznania własnej przyszłości i z chęci przeniknięcia tajemniczej rzeczywistości, która otacza każdego człowieka. Zwłaszcza człowiek, którego wiedza o świecie i naturze zjawisk dostrzeganych na co dzień stoi na niskim poziomie, szuka specjalistów, którzy pomogliby mu poznać to, co się zdarza i to co ma nadejść. Tak, ale skąd się ci specjaliści biorą?

Nikt się nie rodzi czarownikiem. Czarownikiem można zostać. W jaki sposób? – nie wiem, jak to jest w innych krajach, ale u nas – na podstawie tego, co opowiadali mi tutejsi ludzie i na podstawie tego, co zdążyłem wyczytać – można mówić o czterech sposobach zostania czarownikiem.

a. Przejąć tajemnicę od ojca.

Czarownik w czasie swej długiej praktyki zdobywa tajemną wiedzę, poznaje wiele tajemnic ludzkich serc, poznaje dzieje rodzin, spory i zawiści nieznanym innym ludziom. Od innych czarowników lub znachorów nauczył się stosowania różnego zioła jako lekarstwa lub jako trucizny. Sam przekonał się, jakie obrzędy i jakie słowa najsilniej działają na klientów.

To wszystko staje się jego sekretem, jego własną tajemnicą. Jeżeli któryś z jego synów okaże się godzien zaufania, ojciec próbuje przekazać mu swoje tajemnicze rzemiosło. Początkowo tylko niektóre praktyki odbędą się w obecności wybranego dziecka. Jeżeli syn zasmakuje w tym rzemiosle, ojciec podda go wielu próbom. Sam pójdzie do innego czarownika poradzić się jak ma postąpić. Gdy jest przekonany, że syn nie zdradzi, przekaże mu całą wiedzę. Nie każdy jednak czarownik znajduje takiego syna. Wielu starszych czarowników zabiera swą tajemnicę do grobu.

b. Przejąć tajemnicę od innego czarownika.

Ktoś ufający swoim zdolnościom i ogarnięty chęcią zysków i sławy może zgłosić się do jakiegoś słynnego czarownika i prosić go o wprowadzenie w tajniki tej „świętej wiedzy”. Za takie wprowadzenie trzeba drogo zapłacić. Trzeba mieć krowy, motyki, pieniądze.

Istnieją znane „szkoły czarowników” w pobliżu naszego kraju, szczególnie w Buha (Tanzania), skąd wywodzą się najpotężniejsi i najbardziej poważani czarownicy. Nie każdego jednak stać na taką szkołę. Wielu musi się zadowolić skromniejszymi szkołami krajowymi. Mamy taką szkołę i w naszej parafii w Mpinga. Oczywiście, nie my misjonarze – ją prowadzimy. Kiedy pytałem, skąd wywodzą się znani mi czarownicy, wskazywano mi busz nad jeziorem w Kiharo (nasza stacja misyjna). To dziwne jezioro w zeszłym roku dziwnym sposobem zupełnie straciło wodę. To prawda, że w wielu miejscach było płytkie, ale posiadało też miejsca głębokie. Żyły w nim ryby i różnorakie ptactwo. Teraz, nawet w porze deszczowej, można przejść po jego dnie suchą nogą. Ciekawe, czy to dziwne zniknięcie wody doda uroku naszej szkole czarowników, czy też będzie ją trzeba przenieść w inne miejsce? Kandydat na czarownika udaje się zatem do szkoły, zawsze w jakąś odległą okolicę, gdzie jest nieznany. Wraca później z tej „pustyni” przemieniony, pełen niezwyklej mocy.

Pozostaje sekretem, w jaki sposób odbywa się nauka i wtajemniczenie nowych czarowników. Tyle wiadomo, że zawodowi „nauczyciele” mają przygotowane odpowiednie zagrody, gdzie umieszczają kandydata, poddając go licznym próbom.

Kandydatowi przydziela się odpowiednią dziewczynę, która ustrojona jak do ślubu jest uroczystie wprowadzana w dom ucznia. Będzie z nim dzielić życie, będzie przygotowywać posiłki. Głównym jej zadaniem jest poznać dokładnie ucznia i domagać się od niego coraz to nowych świadczeń zgodnie z instrukcjami mistrza. Każdy nowy sekret jest drogo sprzedawany. Nie zawsze uczeń ma wystarczającą ilość krów, kóz i pieniędzy. Wówczas składa uroczyste przysięgi, że później (z zarobionych pieniędzy) spłaci dług. Za niewywiązanie się ze zobowiązań grozi kara śmierci. Nauka trwa kilka lub kilkanaście miesięcy. Wszystko zależy od zamożności ucznia i od gałęzi wiedzy, którą chce poznać. Mistrz bywa wymagający. Musi przecież zabezpieczyć swoją rodzinę na czas, w którym nie będzie miał nowego ucznia.

O ceremoniach ostatecznego przekazania wiedzy, dokumenty i sami czarownicy milczą uparcie – tajemnica, sekret! Wiadomo jednak, że towarzyszy im specjalne namaszczenia na czole, na dłoniach i na końcu palców.

Uczeń wraca do siebie i to już jego sprawa, w jaki sposób da się poznać jako czarownik.

c. „Wybranie” przez ducha Rubambo.

Tego ducha, o którym niestety nie wiele wiadomo, wzywają czarownicy przy swoich obrzędach, szczególnie ci kształceni w Buha. Czarownicy krajowi szkół częściej wzywają Kirangi. Gdy ktoś zachorował na jakąś dziwną chorobę, czarownik, który w nim upatrzył swego ucznia i następcę, oznajmia rodzinie, że „duch wybrał” chorego na swą służbę. Dokonuje specjalnej operacji, która drogo kosztuje całą rodzinę i po tajemniczych ceremoniach chory wraca do zdrowia jako czarownik.

d. Dzięki opinii publicznej.

Ludzi o dziwnym wyglądzie, o dziwnym, nienormalnym sposobie zachowania, opinia publiczna może pchnąć do zawodu czarownika. Po prostu, fama niesie, że to czarownik. Często tacy „dziwni” ludzie, niezrozumiani przez otoczenie, chcąc zyskać uznanie społeczeństwa, słysząc, że przypisuje się im moc czarodziejską, zaczynają praktyki czarowania. W ten sposób „rodzą się” niektórzy, zwłaszcza ci „złośliwi” czarownicy. Szczególnie starsze kobiety, które straciły męża i dzieci, są posądzane, że z zazdrości rzucają uroki i sprowadzają nieszczęście na tych, którym wiedzie się dobrze i którzy mają liczne rodziny. Zawieść – według opinii publicznej – może je pchnąć nawet do trucia innych. Ci, którzy chcą szkodzić innym, udają się do nich „w tajemnicę” z prośbą o rzucenie uroku lub z prośbą o truciznę. Tajemnica „przecieka” i tak powoli rodzi się znana wiedźma od uroków.

e. Sposób bycia i ekwipunek czarownika

W codziennym życiu nie można odróżnić czarownika od innych ludzi. Ubierają się jak wszyscy, żyją jak inni ludzie, są gospodarzami, pasterzami, ojcami rodzin. Zyski z uprawianego „rzemiosła” pozwalają niektórym „mieć się lepiej”.

Chociaż zawód czarownika nie daje im żadnej władzy zewnętrznej, żadnego wyróżnienia czy „ważności” w społeczeństwie, to przecież w oczach ludzi czarownicy są „kimś”, są dobrodziejami, są ludźmi bożymi, albo wrogami, wysłannikami złych mocy. Pierwszych czci się i kocha, drugich obawia się i nienawidzi, ale do jednych i do drugich idzie się po radę, po pomoc, po lekarstwo, po truciznę, po amulety...

Przekonanie o ich powiązaniu z nadnaturalnymi mocami, ich umiejętność przekonywania, ich zdolność do zdobywania tajemnic serc, ich zaskakujące nieraz rozwiązania trudnych spraw, ich nakazy rzucone w imię jakiejś tajemniczej mocy, ich bezwzględność – zdobywają im coraz większą sławę.

Pewne zaskakujące efekty nie trudno osiągnąć. Bywa przecież tak, że jedna i ta sama sprawa jest w tajemnicy przedstawiona temu samemu czarownikowi z dwu stron. Zaledwie zatem klient otworzy usta, by powiedzieć z czym przychodzi, czarownik „już wie wszystko”. Stąd zaskoczenie klienta i zdziwienie: „skąd on to wie?! On musi wiedzieć wszystko!” To przekonanie czarownik przypieczętowuje słowami „Tam mi powiedział duch!”

Samo „czarowanie” odbywa się pod osłoną nocy przy użyciu przedziwnego wyposażenia. Każdy czarownik ma swoje własne „narzędzia”. Wszyscy jednak używają:

1. Czapki czarownika, zrobionej z małpiej skóry lub skóry innego zwierzęcia o długiej sierści, ozdobionej różnymi świecidełkami, muszelkami, piórami, sznurkami...
2. Odzienia ze skóry tygrysa lub serwala,
3. Odzienia specjalnie ozdobione, zrobione z materiału z łyka fikusa,
4. Krzesła – tronu czarownika,
5. Worka zawierającego różne dziwne przedmioty,
6. Naczynia z kalebasa o dziwnych kształtach,
7. Magicznego bębna,
8. Grzechotki,
9. Koszałki splecionej z lin specjalnie ozdobionych....

Jeżeli do tego dodać przeróżne zioła, kości, pióra ptaków, korzenie o dziwnych kształtach, kamienie itd., to widzimy, w jak niesamowitym świecie znajduje się ten, który przyszedł po radę, po amulety, po lekarstwo lub po truciznę do czarownika.

Należy tu jeszcze przypomnieć wypracowane efekty świetlne, zmieniające się zapachy, odurzenie dymem, brzuchomówców, szmery, szelesty, zgiełki, rozmowę z duchami itd. Nic zatem dziwnego, że po trwającym niemal całą noc „posłuchaniu” pacjent wraca zahipnotyzowany, zafascynowany, wstrząśnięty i przekonany, że doznał czegoś nadzwyczajnego. Wraca przejęty lękiem i jakąś zabobonną czcią, by wykonać dokładnie wszystko, co mu polecono. Oczywiście, tego co widział i słyszał nie zdradzi za żadne skarby, bo spotkałaby go straszna kara, której sobie nawet nie potrafi wyobrazić. Nie przyzna się także łatwo, ile za takie „przeżycie” zapłacił w naturze lub w gotówce. Po cichu będzie ciulał grosz do grosza, by przy najbliższej okazji znów pójść do czarownika.

Ponieważ list się za bardzo przedłuża, o samym czarowniku, o amuletach itd. napiszę przy okazji.

Dzisiaj muszę jeszcze dodać słówko o nas. Nic specjalnego się u nas nie dzieje. Zwyczajne życie misjonarzy w buszu. Jeszcze nie odetchnęliśmy po wielkopostnych rekolekcjach, a już trzeba było się zabrać do dalszej pracy duszpasterskiej i do tego ciągłego budowania.

W Musongati zbudowano szkołę gospodarstwa – foyer social, zbudowano dom księdza w Gakome. Buduje się dom dla nauczycielstwa i już zakłada fundamenty pod kościół w Gakome. W planie na ten rok jest jeszcze szkoła podstawowa i dokończenie katechumenatu w Musongati. Więcej chyba się nie zdąży.

W Mpinga zbudowaliśmy magazyny i WC przy foyer social oraz WC przy szkole podstawowej. Teraz buduje się katechumenat i dom księdza w Katara. Zaplanowano jeszcze na ten rok katechumenaty w Kiguhi i w Kiharo. Chcemy też zrobić i wypalić dużo, dużo cegły. Obawiam się, że to trochę za wiele na te wakacje. O mniejszych budowach i udoskonaleniach, o wychodzących spod ręki naszego pana „Szwagra” wspaniałych meblach do kościoła, kaplic, katechumenatów i szkół już nawet nie wspominam.

Mam nadzieję, że wielu z Was usłyszy o tym wszystkim z ust O. Józefa Trybały, który pod koniec maja pojechał na zasłużone wakacje do kraju. Innym wiele opowie s. Bogumiła Jabrucka, która także pojedzie na wakacje oraz s. Assumpta Stanek, która naszym Siostrom w Musongati złożyła dłuższą wizytę.

Ja zatem mogę zamilknąć, chociaż wypadałoby jeszcze napisać wiele słów serdecznej wdzięczności. Wypowiem je w modlitwie. Wdzięczność moja jest rzeczywiście wielka! Jak już niektórym z Was pisałem, po powrocie z dalekiego buszu, gdzie głosiłem rekolekcje wielkopostne, do dzisiaj serce i oczy mam pełne obrazów niesamowitej nędzy, w jakiej tam nasi ludzie żyją. To prawda, że i tu, w pobliżu misji nędzy jest wiele, ale przecież tu ludziska prędzej coś mogą zdobyć lub wyżebrać. Tam, w buszu, mają tyle potrzeb, a nie mają do kogo wyciągnąć ręki. Jakże marzyłem, żeby ich szczególnie wspomóc. Tak, ale jakim sposobem? Wiadomo, możemy ich wspomóc tylko wtedy, gdy sami od Was otrzymamy pomoc. I oto, po powrocie z buszu zastałem Wasze ofiary, Wasze paczki i listy. Nadeszły też paki przesiedlenia naszych nowych misjonarzy. Będzie można choć najbiedniejszym przyjść z pomocą. Bóg stokrotnie zapłać za wszystko!

Zjednoczony z Wami w modlitwie i wdzięczny misjonarz z buszu
br. Teofil St. Kapusta OCD

JM+JT

Mpinga, 5 sierpnia 1977 r.

Drogi i Przewielebny Ojciec!

Z całego serca dziękuję za wszystkie dobre listy i karteczki! Widać, że Drogi Ojciec „jest” z nami całym sercem i solidną pracą. Bóg zapłać stokrotnie!

My także nie zapominamy nigdy w modlitwach i we Mszach św., które w każdą sobotę i w każdą niedzielę ofiarujemy w Mpinga za naszych Przyjaciół i Dobrodziejów oraz za ich Najbliższych – tak żyjących jak i zmarłych.

Dziękujemy serdecznie za potwierdzenie intencji. Posłałem karteczkę, bo listy rzeczywiście gdzieś giną. Mam nadzieję, że następna karteczka z 12 lipca dotarła. Listu „Koła Misyjnego” z Poznania, niestety, nie otrzymałem. Czy mój pierwszy list o czarownikach z czerwca dotarł? Dziś przesyłam następny. Może na coś się przyda. Jest trochę wieści o nas i o naszej pracy.

Z innych wieści: Po rozważeniu trudności, jakie miał W. O. Sylwan z prowadzeniem parafii przy konieczności ciągłego budowania, do czego on się najlepiej nadaje, poprosiliśmy Biskupa o zmianę proboszcza. Nowym proboszczem został W. O. Eliasza. Od czwartku głosi on rekolekcje Siostrom w Musongati. Zostałem tu sam z O. Bartłomiejem i p. Szwagrem, bo O. Sylwan w Kiguhi przygotowuje Uroczyste Komunie św. z Nymiyaga, z Kiguhi i z Shenbo. Równocześnie organizuje budowę katechumenatu.

Inna wiadomość otrzymana wczoraj: Nasz p. „Szwagier” dostał odpowiedź, że powinien wrócić do kraju w terminie ważności paszportu. Na szczęście ma ważny do maja 1978 r. Zostaniemy więc bez wspaniałego współpracownika, który całą duszą oddany jest misji. A może Drogi Ojciec znajdzie nam kogoś?! Najlepiej ze czterech Braci!

Cieszę się ze współpracy z p. Wasążnikiem. Oni rzeczywiście dobrze pomagają.

To na razie tyle w telegraficznym skrócie. Bardzo czekamy na N. O. Prowincjała. Podobno wybiera się w październiku.

Te następne paki jeszcze w drodze. Dzięki Bogu, na razie udało się wszystko bez cła. Przyszedł w bardzo dobrym stanie.

Bardzo serdecznie pozdrawiam w Panu tak Drogiego Ojca jak i Wszystkich Drogich Ojców i Braci z Poznania. Także Drogie Siostry z Kalisza i innych konwentów.

Na wzajemną modlitwę bardzo liczymy!

Szczerze wdzięczny i oddany w Jezusie i Maryi

Br. Teofil Kapusta OCD

Mpinga, 8 sierpnia 1977

+ Droga Siostro w Chrystusie!

Rzeczywiście „zgubiłem się” w mojej korespondencji. Nie dlatego, żebym się zniechęcił, ale po prostu tyle jest pracy, że nie wiadomo do czego przyłożyć rękę!

Dzisiaj też słówko piszę, by dać znak, że żyjemy i że jestem bardzo wdzięczny za wszystkie listy i karteczki. Wiadomo, że niektóre giną, ale przecież inne dotarły. Bóg zapłać za zatroskanie o nas (...).

Trochę wieści o nas i naszej pracy jest w liście ogólnym, którego kopię przesyłam. Inne wieści później, bo teraz właśnie wypalamy cegłę.

Serdeczności bardzo serdecznie przesyłam dla Wszystkich wraz z zapewnieniem o naszej stałej pamięci przed Panem!

Na wzajemną modlitwę bardzo liczymy!

Z błogosławieństwem
br. Teofil St. Kapusta OCD

Mpinga, sierpień 1977

+ Drodzy Przyjaciele!

Bardzo serdecznie pozdrawiam w Panu!

Łatwo misjonarzowi obiecać list, trudniej napisać.

W ostatnim liście, rozmawiając z Wami o czarownikach, obiecałem napisać o samym czarowaniu, o amuletach i innych sprawach związanych z czarowaniem! Dopiero dzisiaj mogę skreślić kilka zdań na ten temat.

Kiedy ktoś zgłasza się do czarownika, by ten pomógł mu zrozumieć jakieś zdarzenie z przeszłości, by przepowiedział przyszłość, by przyszedł z pomocą w chorobie, by dał jakiś środek przeciw nieszczęściu, które spotkało lub może spotkać rodzinę – czarownik wyznacza mu czas i miejsce spotkania. Takie spotkania odbywają się pod osłoną nocy w specjalnej szopie zbudowanej w zagrodzie czarownika. Jak wspominałem w ostatnim liście, w czasie takiego spotkania, czarownik występuje w specjalnym stroju, używa wielu dziwnych

przedmiotów, dokonuje obrzędów, które działają na wzrok, słuch i na powonienie i które mają jakoś zahipnotyzować klienta.

Wróżenie.

Każdy czarownik ma swoje sposoby poznawania przeszłości, przyszłości i różnych tajemnic. Najczęściej stosuje wróżenie, radząc się duchów przy użyciu różnych przedmiotów. Wspomnijmy dla przykładu niektóre sposoby wróżenia:

- a. radzenie się kalebasa – Specjalnie dobrany i pomalowany kalebas, ozdobiony różnymi paciorkami, świecidełkami, kolorowymi piórami, umieszcza się na odpowiednio przygotowanej podstawie. Czarownik wkłada doń czerwone i czarne kulki lub ziarna, potrząsa kalebasem i długo rozmawia z tym niezwykle naczyniem w niezrozumiałym dla klienta bełkocie. Wreszcie czarownik wysypuje kulki na specjalną matę i z ich ułożenia odczytuje odpowiedź duchów;
- b. radzenie się różdżki – Pomalowane na różne kolory różdżki czarownik smaruje masłem, przesuwa je w palcach wśród zaklęć i modłów, a one w sposób wiadomy tylko czarownikowi wskazują przyczynę choroby, wskazują złodzieja, wroga rodziny lub grożące niebezpieczeństwo;
- c. radzenie się kości – Umieszczonymi w specjalnej grzechotce kośćmi czarownik potrząsa po wiele razy, czyniąc dużo hałasu i wsłuchując się w głosy duchów. Później wytrząsa kości do opałki i odczytuje tajemnice z ich ułożenia;
- d. radzenie się snów – Klient opowiada swoje ostatnie zapamiętane sny, których znaczenie czarownik wyjaśnia, radząc się duchów.

Zazwyczaj klient pozostaje sam na sam z czarownikiem w czasie umówionego spotkania. Są jednak wypadki „czarowania” w obecności wielu osób, zwłaszcza, kiedy chodzi o wykrycie winnego wśród podejrzanych o rzucenie uroków, o kradzież lub inną zbrodnię. Podejrzani bywają prowadzeni do czarownika i poddani próbie. Różnie wyglądają takie próby. Podejrzani np. otrzymują odurzający napój albo klękają nad kotłem, w którym gotowane są odurzające zioła. Następnie stają wyprostowani, wpatrując się w jakiś koszmarny przedmiot. Tymczasem czarownik tańczy wokół nich, potrząsa grzechotkami i czyni wiele zgiełku. Ktoś słaby nerwowo i odurzony ziołami nie wytrzymuje i porusza się, co zdradza go jako winnego. Opowiadają, że wielu niewinnych traci tym sposobem dobre imię, majątek, a czasem i życie, bo później szuka się sposobu, by go „unieszkodliwić”.

Stosuje się także próbę ognia, próbę gorącego masła, próbę przeniesienia bez rozlania naczynia wypełnionego wodą. Często bywa stosowana próba grzechotek. Czarownik wymalowany na biało zasiada na tronie, potrząsa grzechotkami, tańczy wśród podejrzanych jakiś makabryczny taniec i wreszcie rzuca któremuś z nich zaskakujące pytanie. Często badany „traci głowę” i daje odpowiedzi, z których można dowieść jego winę.

Lekarz

Choroba w Burundi nigdy nie była przypisywana tylko naturalnym przyczynom, zawsze powodowały ją złe, nadnaturalne siły spowodowane przez kogoś za pomocą czarów, uroków lub po prostu podanej przez kogoś trucizny. Dlatego zawsze w wypadku choroby należy odszukać jej przyczyny. Potrafi to czarownik, który jest lekarzem. Najpierw zastosuje on wspomniane wyżej wróżenie. Następnie dokona „operacji”, usuwającej z ciała chorego przyczynę choroby. Posłuży się przy tym swoimi narzędziami, czasem wprost ustami. Potrafi wydobyć z ciała chorego różne przedmioty: jakieś odpadki kości, żelaza, kamieni, roślin, a nawet żywego robaka czy żabę...Zrobi to tak sprytnie, że stojący obok gotowi przysięgać, że na własne oczy widzieli, jak te przedmioty wychodziły z ciała chorego. Ceremonia odbywa się w mroku nocy, wśród odurzających dymów, co ułatwia czarownikowi zadanie.

Dla całkowitego uleczenia lub dla zabezpieczenia przed ewentualnym nieszczęściem należy jeszcze zastosować odpowiednie lekarstwo. Niektórzy czarownicy rzeczywiście znają leczniczą moc różnych ziół. Lekarstwem przez nich sporządzanym rzeczywiście leczą. To już tajemnica czarownika, z czego i jak je sporządza. Znane są lekarstwa w postaci płynów, które należy pić z piwem, z zimną lub ciepłą wodą. Inne w postaci proszków należy spożywać z odpowiednim pożywieniem. Stosuje się także różne maści.

Wszystkie lekarstwa należy stosować w przypisanym przez czarownika czasie i w dokładnie określonym miejscu. Należy przy tym dokładnie wymawiać niezrozumiałą często dla chorego modlitwę do duchów lub zaklęcia. Jeżeli lekarstwo nie działa, albo okaże się trucizną (co często się zdarza), czarownik ma zawsze wytłumaczenie: „zażyłeś lekarstwo w nieodpowiednim miejscu lub czasie, pomyliłeś słowa zaklęcia...”.

Są lekarstwa, które czarownik musi podać osobiście. Nacina np. skórę na czole, na policzkach, na piersi lub rękach i wciera w rany jakiś specjalny proszek. Pozostaje po takiej operacji trwały ślad na całe życie. Niektórych chorych leczy czarownik oparami wydobywającymi się z kotła, w którym gotuje się zioła. Chory wdycha te opary, aż do wypocenia się, aż do zupełnego odurzenia.

Można u czarownika kupić lekarstwa na wszystko: na zapewnienie sobie miłości upatrzonego chłopca, na trwałość miłości małżonka, na płodność, na odpędzanie złych duchów, na zapewnienie sobie bezpieczeństwa i błogosławieństwa w podróży... Trudno o lekarstwo skutecznie zapewniające nieśmiertelność, chociaż i takie niektórzy czarownicy sprzedają.

Amulety

Lekarstwa nie zawsze działają skutecznie. Wówczas stosuje się amulety. W języku kirundi określa je słowo ibiheko od giheka – nosić na plecach. Dziecko noszone na plecach jest symbolem szczęścia i błogosławieństwa Bożego. Podobnie ibiheko – amulety są znakiem przynoszącym szczęście, a w każdym razie są puklerzami przed wszelkiego rodzaju nieszczęściem. Amulet bywa kawałkiem drzewa, metalu, kości, szkła itp. Zaklęta w nim jest przez czarownika specjalna moc.

Burundczyk wierzy, że ponad wszystko jest Bóg. Właśnie Bóg pozwala czarownikowi tchnąć w amulet nadludzką moc. Poprzez amulet sam Bóg w jakiś sposób objawia swą moc. Stąd przysłowie: „Amulet chroni tego, kogo chroni Bóg”.

Każdy amulet ma swoje przeznaczenie i swoje pole działania ściśle określone przez czarownika. Są więc amulety noszone przez dzieci, inne noszone przez mężczyzn, inne przez kobiety, a jeszcze inne noszone przez bydło domowe. Chronią one danego człowieka lub zwierzę przed wszystkim co może szkodzić. Ten osobisty amulet, noszony przez kogoś innego, nie będzie działał, może nawet zaszkodzić. Dlatego amulety po zmarłym wyrzuca się w jakieś niedostępne miejsca.

Inne są jednak amulety, które pomagają wszystkim domownikom. Umieszcza się je przy wejściu do zagrody, przy ognisku domowym, by chroniły od złego losu, od choroby, od trucizny, od uroków rzucanych przez wrogów rodziny lub przez złych czarowników. Inne umieszcza się przy drzwiach domu, pod łóżkiem, w spichlerzu, by chroniły przed złodziejem, by pomnażały zapasy. Gdyby chcieć wyliczyć wszystkie amulety i zakres ich działania nigdy byśmy nie skończyli.

Czarownik - religia - chrześcijaństwo.

Niektórzy z Was pytają, czy czarownicy spełniają funkcję religijną? Czarownicy nie są kapłanami. Niemniej jednak wszystkie swoje praktyki: wróżenie, leczenie czy zaklinanie nadnaturalnych mocy w amulety czarownik spełnia w powiązaniu z duchami, przede wszystkim w powiązaniu z Kirangą – wielkim pośrednikiem między Burundczykiem, a Bogiem. Kiranga pozostaje niewidzialnym, ale czarownik rozmawia z nim jak z obecnym, jego prosi, jego pyta, jemu dziękuje, jego wolę odczytuje i oznajmia. W ten sposób nocne posiedzenie u czarownika jest jakoś powiązane z Kirangą, a przez niego z najwyższym bóstwem, ma zatem jakiś religijny charakter.

Innych Was zdumiewa fakt, że jeszcze tyle „czarów” jest w Burundi. Trzeba pamiętać, że jeszcze nie minęło 80 lat od pojawienia się w Burundi pierwszych misjonarzy. Niektóre wioski przyjęły wiarę w Chrystusa nie dawniej jak 10 lat temu. I przecież nie całe. Na terenie naszych parafii w Mpinga i Musongati dopiero 1/3 ludności – to chrześcijaństwo. Są wioski, gdzie dopiero teraz po raz pierwszy dociera misjonarz. Także bardzo niski stan wykształcenia sprzyja różnym przekonaniom, czarom, wróżbom. Zresztą i w Europie, po niemal dwu tysiącach lat od pojawienie się chrześcijaństwa i przy tylu uniwersytetach wciąż jeszcze „odczynia się uroki”, wciąż jeszcze jest czarny kot, feralna trzynastka, podkowa szczęścia, chwytywanie się za guzik i tym podobne różności. To prawda, że nie wierzy się w to wszystko tak na serio, ale to jest...Może zresztą nie wierzy się w to tak na serio, bo często nie wierzy się w ogóle na serio...

I jeszcze pytanie? Co na to wszystko katolicy? – Niektórzy z nich odrzucili te wszystkie „czary”, bo uczono ich, że to sprawy diabelskie. Inni jednak nie mogą się z tego wszystkiego wyzwolić. Człowiek tutejszy jest bardzo zależny od swej rodziny, tej najbliższej i tej dalszej, jest zależny od sąsiadów, od wioski. Bardzo trudno wyzwolić się od tej zależności. Dziewczyna np. przed małżeństwem „musi” iść do czarownika, by zapytał jaka jest wola bogów, by podał zabezpieczające przed nieszczęściem środki, by wyznaczył konieczne dla szczęścia amulety. „Dlaczego poszłaś – pytam pannę młodą – przecież jesteś katoliczką?” – „Tak, jestem – odpowiada – ale musiałam iść, chociaż w to wcale nie wierzę. Musiałam, bo w całej rodzinie jest nas tylko czworo ochrzczonych, a inni w ewentualnym

nieszczęściu nie wspomogliby mnie. Powiedzą: to wszystko spotkało cię, bo nie poradziłaś się czarownika. Nie możemy cię wspomóc, bo nas mogłoby spotkać to samo nieszczęście”.

Albo np. w wypadku kradzieży, poszkodowany „ciągnie” podejrzanych do czarownika. „Jeżeli nie pójdę – powiada chrześcijanin – to będą przekonaniu, że to ja ukradłem”. Podobnych sytuacji jest bez liku.

Niektórzy z ochrzczonych katolików lub protestantów posiadają u siebie różne amulety. Postarali się o nie w dostatecznej ilości i na wszelkie okazje jeszcze przed chrztem. Później nie pozbawiają się ich „na wszelki wypadek” lub nawet z obawy przed śmiercią. Dla wielu amulety są ochroną przeciw działaniu złych duchów, „a nie jest takie pewne, czy władza Boga sięga aż do podziemia, które od nieba dzieli ziemia”. Są chrześcijanie, którzy wierzą „ślepo” we wszystko: w Boga, w Chrystusa, w czarownika i jego amulety. Jest jeszcze wielu „rozdartych wewnątrz” przez nakazy religii chrześcijańskiej i przez nakazy tradycji środowiska pogańskiego.

Katechiści i chrześcijanie jakoś odpowiedzialni za duchowy stan wiosek znają dobrze to „rozdwojenie”, ale niechętnie mówią o tym z księdzem, zwłaszcza z białym. Czyż bowiem nie uczono ich, że to wszystko nie ma sensu, że to głupota, więc jemu – katechiście nie wypada mówić o tym na serio, żeby ksiądz nie pomyślał, że on te rzeczy traktuje poważnie. Nie wypada też „zdradzać”, przed księdzem ludzi, za których wiarę jest jakoś odpowiedzialny, bo mógłby usłyszeć: „Co zatem ty, katechista tam robisz?!”

Nawet wśród „wierzących i praktykujących” chrześcijan można spotkać czarowników. Przyjmują klientów, wróżą, sprzedają amulety, rzucają uroki, sprzedają lekarstwa, a nawet truciznę. To jest po prostu ich zawód, który – ich zdaniem – można pogodzić z wiernym wypełnianiem praktyk życia chrześcijańskiego. „On jest dobrym chrześcijaninem i doskonałym czarownikiem”.

Dla pełniejszego obrazu trzeba dodać, że bywały, a może bywają wypadki, iż dobry katechista, który gorliwie nauczał, że te wszystkie czary to sprawy diabelskie, sam był dobrym, znanym czarownikiem. Wierni słuchali go potulnie w niedzielne przedpołudnie, a wieczorem szli do niego na nocne obrzędy. Takie jeszcze pomieszanie z poplątaniem.

Kiedyś np. wezwano jednego z nas w Mpinga do umierającej. Ksiądz wyspowiadał, udzielił sakramentu chorych i Komunii św. Nie było przy tym mowy o czarach. W powrotnej drodze ludzie pytają: „U kogo ojciec był?” Ksiądz odpowiada, a ludzie na to: „A tak, u tej wielkiej czarownicy! Że też wezwała księdza?” – dziwią się niemało. Po powrocie ksiądz „upomina” sekretarza parafii, przez którego został wezwany do chorej: „Wiedziałaś, że to czarownica?!” – „Tak, przecież to wszyscy wiedzą, ona jest bardzo znana” odpowiada sekretarz. „Dlaczego nic mi nie powiedziałeś, przecież to głupia sytuacja?!” – ciągnie ksiądz. „Jak to głupia – nie może zrozumieć sekretarz – przecież to bardzo dobrze, że ona uznała, że jest ktoś wyższy od niej, że ksiądz i sakramenty św. więcej znaczą niż jej czary!?” I bądź tu mądry człowieku w takiej filozofii i w takim poplątaniu z pomieszaniem.

Wiem, że temat o czarownikach wcale jeszcze nie wyczerpany, że nic jeszcze nie powiedziałem o czarnej magii i tym podobnych sprawach, ale muszę kończyć, bo nasze przysłowie powiada: „Kto wiele mówi przez niewielu jest lubiany”. Już nawet nie o to „lubienie” chodzi, ale po prostu u nas praca na wszystkich frontach, więc nie można za długo siedzieć nad listem.

Stanowczo za dużo na te wakacje zaplanowaliśmy. Dopiero pod koniec lipca skończono katechumenat z domem księdza w Katare. Teraz wypalanie cegieł. Cztery piece: w Mpinga, w Kiharo (odległym o 24 km), w Kiguhi (inny kierunek, odległość 22 km) i w Shembe (odległym od misji 50 km). Do wszystkich pieców trzeba postarać się o drzewo i pilnować wypalania. Potem budowa katechumenatu w Kiguhi. Ten zaplanowany w Kiharo będzie musiał poczekać. Tak samo wieża przy kościele w Mpinga i magazyny przy stacji muszą poczekać.

Równocześnie z warsztatu stolarskiego wychodzą coraz to nowe meble, w lesie ścina się drzewa, które trzecie ręczną piłą tną na deski, przygotowuje się nowe sadzonki drzew itp. itd. Choćby nam jeszcze dziesięciu misjonarzy przysłano do Mpingi, żaden nie narzekałby na bezrobocie!

W Musongati skończono dom dla nauczycielstwa, rozpoczyna się budowa szkoły podstawowej i rośnie kościół w Gakome. Jak na nasze możliwości nie mały, bo 36 m długi i 12 m szeroki. Jest nadzieja, że już we wrześniu będzie „pod dachem”.

Zostało jeszcze trochę duszpasterskiej pracy, którą należy wykonać w czasie wakacji, zwłaszcza pierwsze i Uroczyste Komunie św.

Także Siostry w Musongati mają wiele pracy. S. Zygmunta wciąż boryka się z trudnościami. Chorych bez liku, a warunki opłakane. Niestety, mimo wszystko wciąż jeszcze nie stać nas na budowę ośrodka zdrowia. Ufamy! Na razie trzeba zorganizować pomoc dla biednych i głodujących...

Teraz muszę już rzeczywiście kończyć, chociaż wypadałoby jeszcze napisać o wielkiej uroczystości święceń kapłańskich, która odbyła się w Musongati w ostatnią niedzielę lipca. Wiercie, Kochani, była rzeczywiście wielka!

Pamiętajcie o nas w modlitwach! Proście też Pana żniwa, by posłał wielu robotników, bo żniwo wielkie!

Jeszcze raz serdecznie pozdrawiam i zapewniam o naszej szczerzej wdzięczności i pamięci w modlitwach

br. Teofil St. Kapusta OCD

O. Teofil St. Kapusta
D. Sp. 119 – Bujumbura
Mpinga
BURUNDI – Afrique

Listy O. Nazariusza:

JMJT

Mpinga, 20.02.1977.

Drodzy Przyjaciele!

Za kilka dni minie pięć miesięcy od mojego przyjazdu do Burundi. Niewiele mniej czasu upłynęło od chwili, gdy podzieliłem się z Wami moimi wrażeniami z podróży i pierwszych

dni pobytu w tym kraju. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że czekacie od dawna na dalsze wiadomości. Wybaczenie, że tak długo kazałem Wam na nie czekać. Wiem, co to jest oczekiwanie na wieści od nowo upieczonego misjonarza. Doświadczyłem tego sam, będąc w kraju. Wierzcie mi jednak, że istnieje jeszcze druga strona medalu, którą Wy musicie uwzględnić, by zbyt pochopnie nie posądzać mnie o brak pamięci, nie wywiązywanie się z obietnic, lenistwo itp.

Wychodzę z założenia, że każdy list, zwłaszcza jeśli jest on skierowany do szerszego ogółu odbiorców, winien być owocem pewnej refleksji nad tym, co chce się przekazać. By to było jak najbliższe prawdy, musi upłynąć nieco czasu, bo jak powiada polskie przysłowie: „Co nagle, to po diable”. Sam już zauważyłem, że w pierwszym liście użyłem sformułowania, jakoby typowymi domkami były tu domki okrągłe. Spotyka się je owszem, ale tutejsi mieszkańcy w ogromnej większości budują swoje domy na planie prostokąta. Pouczony tą pomyłką, postanowiłem „odczekać” trochę czasu. I tak oto upłynęło już kilka miesięcy.

Poza tym nie brakuje mi zajęć pochłaniających wiele cennego czasu. W wirze tych zajęć nie zauważa się nawet, że tygodnie upływają tak szybko. Mam wrażenie, że dopiero co przyjechałem, a tu już prawie pięć miesięcy! Jedynym wytłumaczeniem tego będzie chyba fakt, iż my tu na równiku obracamy się z nieco większą szybkością niż Wy w kraju!!

Od 18 października ubiegłego roku odbywa się kurs języka kirundi w miejscowości Muyange, położonej ok. 150 km na płn. – zach. od Mpinga. Chciałbym napisać nieco więcej na ten temat, jako że – o ile się dobrze orientuję – nie mieliście dotąd okazji zapoznać się bliżej ze szczegółami życia misjonarzy w tym ośrodku studium języka. Nim jednak przejdę do tego tematu – gwoli kronikarskiej ścisłości – kilka słów o wydarzeniach dzielących mój przyjazd do Burundi i wyjazd do Muyange.

Pierwszy tydzień spędziłem w Mpinga. Miałem sporo wolnego czasu, więc mogłem zapoznać się z samą misją i jej najbliższym otoczeniem. Misja w Mpinga liczy sobie już ponad 30 lat. Nie trzeba być wcale bystrym obserwatorem, by zauważyć poszczególne etapy jej rozbudowy. Obok istniejących jeszcze, ale zamienionych na warsztaty zabudowań z pierwszego okresu istnienia misji, stoi budynek nieco nowszy. Mieści się w nim kaplica, pokoje gościnne, magazyny. Jest to budynek z drugiej fazy rozbudowy misji. I wreszcie najnowsza część, mieszcząca w sobie nasze pokoje, kuchnię, jadalnię i sale rekreacyjną, pracownię i biura parafialne. Obok wznosi się obszerny kościół, dalej szkoła, katechumenat.

Ostatnio misja wzbogaciła się o nowy i bardzo potrzebny obiekt socjalny, poświęcony i oddany do użytku przez ks. biskupa Joachima Ruhunę w niedzielę 10 października ub. roku. Tego dnia odbyła się także uroczystość bierzmowania ok. 250 wiernych. W czasie Mszy św. koncelebrewanej przez nas wszystkich pod przewodnictwem ks. biskupa, zostałem przedstawiony wraz z O. Bartłomiejem licznie zgromadzonym parafianom. Przywitali nas rzesistymi oklaskami. Po Mszy św. i poświęceniu „foyer social” brałem udział w okolicznościowym występie, na który złożyły się przemowy, tańce i śpiew zarówno dzieci, młodzieży, jak i dorosłych. Był to rodzaj podziękowania z ich strony tym wszystkim, którzy przyczynili się do zbudowania tego obiektu, a jednocześnie okazja do zabawy, w której dają wyraz swego zamięłowania do tańców i śpiewów.

Jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem pożegnałem O. Teofila, Sylwana, Eliasza i Bartłomieja i wyjechałem do drugiej naszej misji w Musongati.

Musongati, jak zapewne orientujecie się, istnieje jako samodzielna misja zaledwie od kilku lat. Przedtem była to pomocnicza stacja misyjna Mpinga. Nic więc dziwnego, że jest to misja będąca w trakcie budowy. Trzeba zastąpić stare i ciasne pomieszczenia, wybudować nowe, dotąd nie istniejące. Wspólnym wysiłkiem misjonarzy (O. Jan Kanty, Kamil, Józef, br. Marcelli) i misjonek (Siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus), robotników i wiernych, nakładem dużych kosztów wybudowano dotąd pomieszczenie dla ojców, dla sióstr i katechumenat. Na ukończeniu jest już budowa „foyer social”. W planie – budowa kościoła, centrum zdrowia, szkoły, drugiego katechumenatu.

Kilka dni wakacji, jakie pozostały mi do chwili rozpoczęcia kursu, upłynęły bardzo szybko. W sobotę 16.10.1976 r. wraz z O. Janem Kantym i bratem Marcelim opuściłem Musongatii i przez Gitegę, Ngozi przyjechałem do Muyange.

Muyange: w języku kirundi słowo to oznacza po prostu – „łąka”. Być może wówczas, gdy nadano tę nazwę, rozciągały się w tym miejscu rozległe łąki, wypasane przez stada krów panującego tu księcia o egzotycznym nazwisku Baranyska. Dziś ich miejsce zajęły plantacje kawy, poletka bananów, kukurydzy, ziemniaków, batatów, grochu, sorgo, fasoli. Musicie bowiem wiedzieć, że region, w którym leży Muyange, jest bardzo zaludniony. O ile w części południowo-wschodniej kraju przypada na 1 km² kilkadziesiąt osób, średnia krajowa wynosi ok. 140 osób na km², to tu, w północno-zachodniej części Burundi zaludnienie sięga w niektórych okręgach do 400 osób na km². Nic więc dziwnego, że jest to region zieleni, region tętniący życiem, region, którego mieszkańcy starają się wykorzystać każdy nadający się pod uprawę skrawek ziemi.

Nie bez znaczenia jest też fakt, że posiada on dogodne połączenia drogowe (asfaltowa szosa) ze stolicą kraju – Bujumburą. Pozwala to na stosunkowo łatwy zbył i transport produktów rolnych, kawy oraz herbaty z pobliskiej 800-hekatowej plantacji w Rwegura.

Tu, niedaleko od Muyange bierze także początek najważniejsza rzeka Burundi, „rzeka hipopotamów” – Ruvubu.

Te niewątpliwie zalety sprawiły, że przed 15-tu laty Ojcowie Biali, pierwsi i niemal jedyni w tym czasie misjonarze w Burundi, zdecydowali się założyć właśnie tu w Muyange ośrodek kursów języka kirundi. Wykupili w tym celu kilka hektarów gruntu i kosztem 5 mln tutejszych franków wzniesli obszerny piętrowy gmach, kaplicę, bibliotekę i zabudowania gospodarcze.

Ośrodek został założony głównie z myślą ułatwienia przyszłym misjonarzom studium języka kirundi. Wprawdzie wykorzystywany jest on także jako dom rekolekcyjny, ale tylko w miarę potrzeb i pod nieobecność kursantów.

Kursy organizowane są raz lub dwa razy w roku, w zależności od liczby zgłaszających się. W początkowym okresie jedna sesja trwała ok. 6 miesięcy, aktualnie zmniejszono ją do nieco ponad cztery miesiące.

Należy też dodać, że co roku ma miejsce kurs skrócony dla tych spośród misjonarzy, którzy odczuwają potrzebę powtórzenia, względnie uzupełnienia zdobytych już uprzednio na kursie wiadomości. Kurs ten trwa zwykle dwa tygodnie.

Ośrodek może przyjąć jednorazowo 30 osób. W ciągu kilkunastu lat jego istnienia, przewinęło się tu już grubo ponad 300 misjonarzy: duchownych, świeckich, zarówno katolików, jak i protestantów z wielu krajów świata. Obecny kurs jest jednym z liczniejszych i bardziej urozmaiconych. Na 30 osób, reprezentujących siedem narodowości zdecydowanie

przeważają Włosi (17), dalej Hiszpanie (4), Polacy (obok br. Marcellego i mnie jest tu także polska szarytka – S. Bernarda Baran, pracująca od dwóch lat wśród trędowatych na terenie naszej diecezji Ruyigi). Jest tu ponadto dwie Szwajcarki, Meksykańczyk, Belgijka, Amerykanka i Niemka (te dwie ostatnie to protestantki). W skład całej tej grupy wchodzi 13 księży, 13 zakonnic, brat zakonny oraz trzy osoby świeckie.

Różnimy się nie tylko narodowością i stanem, ale także wiekiem i stażem pracy misyjnej. Obok „młodzieży misyjnej”, tzn. misjonarzy w wieku 26 – 30 lat, są tu i jubilaci w wieku 50 lat, obok nowo przybyłych – „weterani” posługi misyjnej, pracujący tu od dwóch, pięciu, a nawet ... dwudziestu lat.

Pomimo tych oczywistych różnic czujemy się wszyscy jedną wspólnotą, ożywioną tym samym ideałem, jakim jest szerzenie Dobrej Nowiny o Chrystusie. Bardzo szybko doszliśmy do przekonania, że jeśli chcemy dobrze wykorzystać kurs, musimy stworzyć atmosferę wzajemnego zaufania, przyjaźni i współpracy. Zaczęliśmy, rzecz prosta, od wieczorku zapoznawczego. Każdy starał się nakreślić własne koleje życia i motywy, jakie go sprowadziły do Burundi, plany i nadzieje na przyszłość. To wzajemne poznawanie pogłębiało się w miarę godzin, spędzonych wspólnie w sali wykładowej, w kaplicy, w czasie posiłków i rekreacji.

Dziś, po czterech miesiącach czujemy się zżyci i zaprzyjaźnieni do tego stopnia, że u wielu smutek rozstania bierze górę nad radością ukończenia wcale nie łatwego przecież kursu.

Myślę, że zainteresuje Was teraz program dnia, w rytm którego żyje nasza wspólnota w Muyange. Wygląda on następująco:

Godz. 6.20 – modlitwy poranne (Laudes)

6.30 – Msza św.

7.30 – śniadanie

8.30 – wykłady

10.20 – drugie śniadanie

12.30 – obiad

14.30 – wykłady (1 godz.)

16.30 – podwieczorek

19.20 – modlitwy wieczorne (nieszpory)

19.30 – kolacja

21.30 – spoczynek

Jak widać jasno z tego programu, trzy rzeczy przeplatają się wzajemnie w ciągu dnia: modlitwa, posiłek i studium.

Dwa razy w ciągu dnia, rano i wieczorem gromadzimy się wspólnie w domowej kaplicy, by Pana chwalić modlitwą Psalmów. Jednakże naczelne miejsce zajmuje tu Msza św., którą początkowo koncelebrowaliśmy w języku francuskim, a od dwóch miesięcy w języku kirundi. Od czasu do czasu, z racji przypadających świąt, spotykaliśmy się na okolicznościowym nabożeństwie lub rozważaniu Pisma św.

Wspólna modlitwa odgrywa ważną rolę, nie zaspokaja jednak w pełni naszych potrzeb osobistych. Dlatego też inne praktyki religijne, takie jak: różaniec, rozmyślanie, czytanie duchowne każdy stara się wypełnić osobno i w miarę wolnego czasu.

Program dnia przewiduje pięć posiłków. Jest to dość dużo, jeśli zważy się, że w Burundi w ogromnej większości tubylcy jadają – tylko raz lub dwa razy dziennie. Zapewne zainteresuje Was jakość podawanych nam posiłków.

A więc na śniadanie mamy do dyspozycji prawdziwą kawę, mleko w proszku, chleb pszenny, masło, dżem, czasem ser lub jakąś wędlinę. Na drugie śniadanie: kawa i herbata.

Obiad składa się z dwóch dań i deseru. Pierwsze danie, to różnego rodzaju zupy. Na drugie danie serwują nam zwykle ziemniaki i mięso, na zmianę zaś: sałatę, kapustę, marchew, groch, fasolę. Deser – to tutejsze owoce (banany, ananasy, truskawki) lub budyń. W niedzielę dodatkowo podaje się napoje takie jak: coca-cola, czy piwo.

Na podwieczorek mniej więcej to samo co na śniadanie. Menu kolacji zbliżone jest do menu obiadowego.

W sumie więc kwestia wyżywienia nie stanowi dla nas problemu. Ilość kalorii zupełnie wystarczająca. Wprawdzie można mieć czasem zastrzeżenie co do sposobu przyrządzania i podawania posiłków, ale kładziemy to na karb braku doświadczenia naszych młodych pięciu czarnych kucharzy.

Wiecie już, że pierwszorzędnym celem, jaki nas sprowadził do Muyange, nie jest ani modlitwa ani smakowanie tutejszej kuchni, ale studium języka kirundi.

Chciałbym więc napisać Wam coś na ten temat. Nim jednak przejdę do tego, kilka zdań o samym języku, jego podstawowych zasadach i właściwościach.

Język kirundi należy do grupy języków bantu. Posługuje się nim blisko 4 mln ludzi w Burundi oraz poza granicami tego kraju (chodzi tu o dziesiątki tysięcy uchodźców w Tanzanii, Rwandzie i Zairze).

Podstawową zasadą języka kirundi, niespotykaną w językach europejskich jest podział na tzw. „klasy”. System 17 klas szereguje się w odrębnych grupach poszczególne rzeczowniki. I tak np. klasa I, mająca cechę – mu – obejmuje istoty rozumne w liczbie pojedynczej (u-zu-ntu – człowiek, gore – kobieta, u-mu-pfumu – czarownik...). Odpowiednikiem ich liczby mnogiej jest klasa II o cesze – ba - (a-ba-ntu – ludzie, a-ba-gore – kobieta itp.). Klasa IX i Z charakteryzująca się cechą – n – obejmuje swym zasięgiem niemal wszystkie nazwy zwierząt (i-n-ka – krowa, i-n-tare – lew, itp.). Pojęcia abstrakcyjne zgromadzone są na ogół w klasie XIV i mają cechy – bu -(u-bu-ntu - ;udzkość, dobroć, u-bu-za – piękność, u-bu-kene – ubóstwo itd.). Gdy chce się przedstawić pojęcie czegoś małego, dorzuca się do tematu cechę – ka - (klasa XII) np. – a-ka-bwa – ptaszek. Pojęcie przestrzeni obejmuje odrębna klasa XVI (cecha – ha-) np. a-ha-ntu – miejsce.

System klas nie ogranicza się jedynie do rzeczowników. Znamionuje on także przymiotniki, liczebniki, przysłówki oraz zaimki, zaś w zdaniu wymaga harmonizowania orzeczenia z rządzącym nim podmiotem. Tę zależność, czyniącą język bardzo logicznym ale i trudnym dla obcokrajowców, najlepiej prześledzić na prostym przykładzie: „Moi dwaj wysocy przyjaciele rozmawiają” – A-ba-genzi ba-nje ba-reba-re ba-biri ba-ra-yagana. W dosłownym znaczeniu szyk jest następujący: Przyjaciele moi wysocy dwaj rozmawiają. Zwróciliście zapewne uwagę na powtarzającą się cechę – ba - (II). Podobną melodyjność spotyka się także w innych klasach z tym, że tam będzie chodziło np. o –mu-, -n-, -pu-, -ka-, -tu-, -ha- itp.

Rzeczą dość trudną do opanowania jest rozbudowa i skomplikowana odmiana czasowników, tonacja wyrazów oraz cały szereg wyrażen i przysłów, jakimi na co dzień posługują się mieszkańcy Burundi.

W trakcie przyswajania sobie słownictwa języka kirundi, nie można liczyć na podobieństwo z wyrazami polskimi. Jedynym wyjątkiem, słowem rdzenia tutejszego, którego nie trzeba uczyć się na nowo, jest pojęcie wszystkim nam bardzo bliskie: mama.

To tyle z kilku uwag, które chciałem przekazać Wam na temat języka. Wiem, że jest to bardzo mało, a nadto nieporadnie przedstawione, byście mieli choćby ogólne wyobrażenie o kirundi. Sam, choć prześlęczałem nad nim kilka miesięcy, widzę, że niewiele jeszcze potrafię. Dochodzę do wniosku, że nadal o wiele łatwiej jest pisać coś na temat języka niż tymże językiem się posługiwać.

A więc jak wyglądało studium, o którym obiecałem napisać? Sporo czas spędziliśmy oczywiście w sali wykładowej. Dziennie mieliśmy tam po dwie (sobota), trzy (poniedziałek i czwartek), a nawet cztery (piątek) 50-minutowe godziny lekcyjne: w sumie 18 wykładów tygodniowo.

Od sześciu lat zajęcia w Muyange prowadzi O. Alfons Nija, Belg, ze Zgromadzenia Ojców Białych, jeden z lepszych znawców skomplikowanej gramatyki języka kirundi. W tym niełatwym zadaniu służy mu radą i pomocą czarny asystent – Makario. Zajęcia prowadzone są metodą tradycyjną (analiza gramatyczna, ćwiczenia) według kursu opracowanego przez niejaką panią Cox, misjonarkę, protestancką, przebywającą w Burundi od wielu, wielu lat. Jego niewątpliwą zaletą jest to, że podaje materiał w sposób progresywny, od rzeczy najprostszych począwszy a na kwestiach bardzo trudnych skończywszy. Nie daje on jednak możliwości przyswojenia sobie języka potocznego.

Język potoczny, taki, jakim na co dzień posługują się w Burundi, można przyswoić sobie poprzez studium osobiste, a przede wszystkim przez rozmowę z ludźmi.

Dlatego też sporo czasu trzeba poświęcić na lekturę prostych, ale oryginalnych tekstów w języku kirundi. Wydatną pomocą jest tu zawsze 600-stronicowy słownik, zbiór przysłów i gramatyka, a gdy to nie stacza, szukanie porady u samych Burundczyków. Niemal każdy w nas ma w Ruyange swego czarnego profesora. Są to przeważnie chłopcy lub dziewczęta w wieku szkolnym.

Od samego początku staraliśmy się rozmawiać z nimi w ich języku. Początkowo nastręczało to olbrzymie trudności, ale z upływem miesięcy szło coraz już lepiej. Moim osobistym „profesorem”, a z czasem i przyjacielem jest 15-letni chłopiec o imieniu Salvatori. Spędziłem z nim na rozmowie blisko 100 godzin. Dla mnie była to dobra lekcja języka kirundi, dla niego zaś możliwość niewielkiego wprawdzie, ale bardzo potrzebnego zarobku.

Żadne studium nie przyniosłoby spodziewanych efektów, jeśliby nie znalazł się w nim czas na jakiś odpoczynek. W naszych warunkach jest on tym bardziej potrzebny, że to przecież Afryka, a samo Muyange leży na wysokości blisko 1.700 m n.p.m.

Najprostszą formą relaksu jest oczywiście spacer. Trzeba powiedzieć, że nie brakuje nam miejsca na krótkie i dłuższe przechadzki. Możemy spacerować w przylegającym ogrodzie, w pobliskim lasku, zaś dla amatorów dłuższych wypadów stają otworem drogi, wiodące do uroczych zakątków, położonych kilka lub kilkanaście kilometrów od Muyange. Dłuższe spacery urządzamy zwykle w niedzielę.

Codziennie po obiedzie, jeśli pogoda dopisuje, gramy w siatkówkę. Poziom tych meczów nie jest nadzwyczajny, ale trzeba mieć na uwadze fakt, że dla wielu jest to po prostu siatkarski debiut. Kiedy gościmy u nas Greków i notabli z pobliskiej Kayanzy, mecze są o wiele bardziej zacięte i ciekawsze.

Od czasu do czasu spotykamy się wieczorami w naszym domowym kinie (nie ma tu jeszcze telewizji). W inne dni można spotkać tam amatorów „kanasty”, popularnej w Burundi gry w karty.

Te wszystkie zajęcia (modlitwa, posiłki, studium i wypoczynek), powtarzają się niemal codziennie, sprawiają, że niecierpliwie czeka się na jakieś wyjątkowe wydarzenia. Nie brakowało ich w Muyange.

W połowie stycznia gościliśmy w naszym ośrodku nowego prezydenta republiki. Jan Chrzyciel Bagaza zatrzymał się u nas w trakcie wizytacji tego regionu. Przyjechało z nim kilku ministrów i szef najbliższych okręgów. Innym razem odbył się „mecz stulecia”, w czasie którego zmierzyły się ekipy „pań” i „panów”. Oczywiście zwycięstwo przypadło tym drugim. Niecodziennym wydarzeniem były także rocznice urodzin niektórych kursantów. Z tej okazji miały miejsce imprezowe „koncerty”, popisy solistów i zespołów z krajów licznie reprezentowanych w Muyange.

Podobnie jak na rozpoczęcie kursu, mieliśmy wieczorek pożegnalny. Było sporo różnorodnych piosenek. Szereg zabawnych skeczów, biała magia, a nawet... autentyczna corrida, w której rolami nieszczęsnego byka i zwycięskiego torreadora podzielili się dwaj zapaleńcy corridy z Hiszpanii.

Mógłbym jeszcze wspomnieć o wizycie ks. Stanisława Orlikowskiego, pallotyna, z polskiej misji w Rwandzie, ale chciałbym wreszcie zatrzymać się nad wydarzeniem, chyba najważniejszym dla mnie w ciągu tych minionych 5-ciu miesięcy. Domyślcie się już, że chodzi mi o święta Bożego Narodzenia, spędzone po raz pierwszy z dala od kraju, z dala od Was: najbliższych, bliskich, krewnych, znajomych i przyjaciół. Obszerny to temat, dlatego być może napiszę Wam o tym w następnym liście.

Drodzy Przyjaciele! Obserwuję niebo. Słońce przesuwają się powoli w Waszym kierunku. Już wkrótce ziemia pokryje się zielenią i kwiatami. Ale wcześniej, objawi się Wam blask Zmartwychwstałego Chrystusa. Życzę Wam wszystkim, by światło, które On przynosi ze sobą na ziemię, przemieniło Wasze serca, by dzięki Niemu Wasze myśli i czyny nabrały nowej treści, by Wasze życie złączyło się z Jego zbawienną misją, byście i Wy mieli swój udział w szerzeniu Jego Królestwa.

Łączę pozdrowienia i proszę serdecznie o modlitwę
O. Nazariusz Kwiatkowski karmelita bosy
misjonarz z Burundi

List O. Bartłomieja:

Mugege, 12.07.1977 r.

Kochany i Drogi Ojciec Bogusławie!

Nie wiem, od jakich słów list niniejszy zacząć, bo tak uroczyście zapewniałem przed odjazdem do Burundi O. Dyrektora, że, „jeden list na jeden miesiąc do Poznania pisał będę!” Tymczasem za ostatnie 15 miesięcy zdobywam się na trzeci zaledwie list. Piszę „zdobynam się”, bo doprawdy nie wiem, czy i ten zaczęty skończę.

Jak O. Dyrektorowi wiadomo, jestem na studium języka kirundi w Mugege. Nie mogę powiedzieć, że bym był najpojętniejszym uczniem, ale też i nie ostatnim. Nie musi się Ojciec za mnie wstydzić, kiedy na wizytację do Burundi znów przyjedzie. Spodziewam się, że na Boże Narodzenie homilię w kirundi wygłoszę! A może nawet potrafię się już wyklócić z Katechumenami przy egzaminie przed chrztem, czego tak bardzo w ubiegłym roku zazdrościłem s. Zenobii.

Czuję się tutaj znakomicie, tak jakbym się dla Afryki urodził, a naszych Czarnych kocham jak moich współbraci w czasie studiów w Poznaniu i Krakowie. Żadne choroby nie chcą się mnie czepiać, chociaż jakieś dobre lekarstwo na grzybek, o to by się przydało.

Teraz dopiero nadeszły te drugie skrzynie, które Ojciec wysłał przed Bożym Narodzeniem. Wszystko i same skrzynie przyszło w idealnym stanie. Dzięki Ojcu braków nie tylko nie odczuwamy, ale jeszcze możemy się podzielić miską ryżu z tymi, którzy raz dziennie jedzą i jeszcze mniej od nas posiadają.

Największa pomoc dla naszych Czarnych Braci, to stanowiska pracy przy naszej parafii. Czarny cieszy się, gdy sam może zapracować i wcale na ławiznę nie lecać. Dzięki pomocy z Polski, możemy mieszkać przyzwoicie, możemy budować kaplice i szkoły, a nawet utrzymujemy własnym kosztem szpitalik. Niewielki, bo niewielki, ale zawsze to parę setek ludzi przez niego się przewinie.

Bez pomocy z Polski nie tylko trudno byłoby coś budować, ale nawet musielibyśmy głodować. Toteż misjonarze z Belgii i Holandii z uznaniem patrzą na nasze „wyczyny” budowlane i nabierają dla nas szacunku.

Nie piszę o innych ojcach i o bracie Marcelim, bo myślę, że sami do Ojca często piszą. Wszyscy czują się dobrze i są zdrowi oraz pełni zapału.

Przepraszam, że taki krótki ten list, ale na dłuższy naprawdę czasu mi nie wystarcza. Po powrocie do Mpinga obiecuję napisać na 7 stron.

Tymczasem najserdeczniej Drogiego Ojca pozdrawiam, raz jeszcze za pomoc dziękuję tak Ojcu, jak również pozostałym zelatorom, w szczególności Ojcu Albinowi i O. Mieczysławowi bo słyszałem, że oni najwięcej razem z Ojcem Dyrektorem troszczą się o nas.

Niech św. Terenia, nasza wspólna Patronka na swój sposób wynagrodzi Ojcu i wszystkim Przyjaciołom naszej misji każdy trud podjęty dla Misji.

Proszę jeszcze powiedzieć wszystkim zainteresowanym misjami, że w każdy świąteczny dzień i w każdą niedzielę odprawiamy po dwie Msze święte w naszych domach w intencji Ojców Zelatorów i Pomocników w Dziele Ewangelizacji Burundi.

O. Bartłomiej Kurzyniec

List Brata Marceliego:

Musongati, 16.08.1977 r.

Drogi Ojcie Bogusławie!

Serdecznie dziękuję za kartki i list. Wreszcie znalazłem chwileczkę czasu na odpisanie, bo w Burundi dzień za krótki na pracę. Robota goni, a jak się znajdzie chwileczkę czasu, to „osiołek” żąda choć chwilę odpoczynku.

Teraz „ciągnę” dwie budowy naraz. W Gakome kościół, szkołę powszechną, 6-klasówkę i biuro. Wczoraj skończyłem tynkować dom dla nauczycielek z Foyer.

Tu u nas to nie jest tak jak w Polsce, że jest specjalna ekipa do zbrojenia, inna do stawiania murów, inna jeszcze do przeprowadzenia instalacji sanitarnych. Tu w Burundi na Polskiej Misji Ojców Karmelitów robimy to sami. A właściwie – to brat Marceli! Od fundamentów, aż do stanu użytkowania. Kanalizacja, woda, elektryka, łóżka, stoły, wszelki transport kamienia i piasku. Okna, drzwi, dach – wszystko z metalu.

Trochę tej pracy zważyło się naraz, bo jak Ojciec wie, cztery i pół miesiąca byłem na kursie kirundi. Budowę rozpoczął O. Józef, a ja kończyłem. Szło dość składnie, tak, że na odjazd S. Bogumiły wszystko było oddane do użytku.

Przeżroczy Ojcu nie posyłam, bo O. Józef na pewno coś Ojcu zostawi ze swoich, jak również wszystkie wiadomości od nas i o nas, ale, że na przyszły rok i mnie się urlop należy, więc przywiozę i zostawię, ale nie dużo. Nie mam czasu na tę przyjemność, ale zawsze jakieś 80 sztuk będzie.

Posyłam fotografię Krzyża w Musongati, który stawialiśmy razem z Ojcem Prowincjałem i Drogim Ojcem nad naszą Misją w 1976 roku.

Jeżeli chodzi o listy do Biuletynu, to ja do tego zdolności nie mam. Niech to zrobią ci, którzy mają więcej czasu i zdolności, którzy umieją patrzeć na tutejszych ludzi i na tutejsze życie! Ja tego daru nie posiadam. To trzeba mieć dar wypowiedzania się na piśmie.

Jeżeli chodzi o rzeczy do zakupienia, to O. Józef wszystko wie, byle tylko Ojciec miał na tyle pieniędzy! Ale przypominam, że zużywają się łopaty, młotki, kilofy i te rzeczy są konieczne w każdej przesyłce.

Dla mnie są potrzebna koszule lekkie, przewiewne, z krótkimi rękawami (nr 40), potem skarpety, sandały, buty (nr 41 – nowy system 7 lub 8). W czasie mego pobytu w Polsce kupiłem sobie buty i sandały, skarpety, ale wszystko do Burundi mi przyszło oprócz butów i sandałów. Obecnie wyszukuję stare, naprawiam, byle do urlopu. Ostatnio nawet dawałem przyklejać mi stare zelówki do starszych jeszcze butów staremu Murzynowi. Już trzy dni chodzę i trzymają się.

Ostatnio otrzymaliśmy skrzynie, w których było tabernakulum, narzędzie ogrodnicze, łopaty, krzyż, gwoździe, farby, lakiery i muszle sanitarne. Jedna jest stłuczona. Taki komplet w Burundi kosztuje 15.000 franków burundzkich, czyli 150 dolarów. Ta jedna przesyłka tych urządzeń sanitarnych zapłaciła nam cały transport! Prosimy o dalsze komplety.

Farby olejne są także drogie. Jedna puszka kilogramowa kosztuje 800 franków, czyli 8 dolarów!

Jeżeli chodzi o zdjęcia z naszej pracy w Musongati, to S. Assumpta zabrała wiele fotografii i klisz. Niech Ojciec do niej się zwróci.

Ja raczej fotografii nie robię. Nie umiem i koniec. Szkoda czasu i papieru!

Ostatnio mieliśmy święcenia kapłańskie. Byli wszyscy księża diecezjalni i czarne siostry. Razem około 60 osób. Ludzi w Musongati na tych święceniach było około 5 tysięcy! Robiłem kolorowe zdjęcia na tej uroczystości na prostym aparacie. Gdy będą dobre, to je Ojcu pošlę.

Na tym kończę i jak najserdeczniej pozdrawiam, a jak się robota przewali, to może do Biuletynu coś napiszę.

Za wszystkie przesyłki tak Ojcu, jak również naszym Przyjaciołom Misji w Polsce bardzo dziękuję i opiece Bożej polecam.

Brat Marcelli